

Jądro w ciemności - Michał Czarnecki

Część I

Misio wyjrzał z okna. Z kominów obozu buchał gęsty dym. Przypomniało mu to o śniadaniu, przygotowywanym przez porucznik Agatkę. Przygotowałam Ci śniadanie, dym już bucha- powiedziała Agatka. Jak zawsze miała rozpiętą koszulę mundurową na nagim torsie. Jej piersi zdawały się mówić „Czuwaj!”.

Siadając przy śniadaniu zapatrzył się mimowolnie na wydatne piersi por. Agatki. Nie żeby go podniecały, przypominały mu jego rodzinny dom, a zwłaszcza żniwa, kiedy to okoliczne wieśniaczki żwawo zbierały słomę z pola. W przyptywie tych wspomnień nasza go chwila na papierosa. Wyciągnął paczkę, wygrzebał jedną fajkę, odpalił i powoli zaciągnął się dymem tytoniowym. "Dobre te scholandzkie" - pomyślał, po czym zabrał się do spożywania śniadania. Mimo iż wojna rozpoczęła się niedawno, Misio zyskał już opinię dowódcy doświadczonego i agresywnego. Służba w sarmackiej piechocie zmotoryzowanej nie poszła na marne.

Po ostatniej akcji do kolekcji Misia dołączyła nowa para uszu scholandzkiego dowódcy. „Po co, głupcze, zbierasz te uszy?”- pytała go matka, jednak on niezrażony wciąż ucinał je po każdej bitwie i wkładał do przenośnej zamrażarki. Tak rodziła się jego legenda, było to konieczne z powodów promocyjnych. Pomysł odcinania uszu pochodził od kaprała Jurka, przed wojną szefa jednej z największych grodziskich agencji PR. Misio skończył śniadanie. Wiatr zmian wiał od strony Gór Kocich.

Wstał i leniwie podszedł do szafki. Nie była to szafa z prawdziwego zdarzenia, a ledwie nieoheblowany kredens. Jednakże trzymał w nim w nienagannym porządku poukładane ubrania. Nie chodziło mu jednak o odzież. Znalazł swój skórzany pasek oficera. Z boku paska zwisała kabura a w niej spoczywał zawsze wyczyszczony i gotowy do walki pistolet Luger. Misio dbał o niego, był dla niego praktycznie wszystkim co miał. Postanowił się wywietrzyć. Wychodząc z baraku wziął stojący przy drzwiach pistolet maszynowy. Było to jedno z jego zboaczeń. Zawsze był gotowy do walki, zawsze uzbrojony, nawet gdy chodził do sracza. Pamiętał przypadek pewnego sierżanta z siostrzanej kompanii, który poszedł się wysrać i został zadżgany przez dywersanta. "Przezorny kurwa żyje" - to było jego motto.

- Pójdę z Tobą, kapitanie - szepnęła porucznik Agatka.
Spojrzał na nią z miłością. Służyła pod jego dowództwem jeszcze w piechocie zmotoryzowanej przed wojną. To ona odbierała z rąk Księcia list pochwalny za wzorową postawę w walce w imieniu całego 32

Gellońskiego Pułku Zmotoryzowanego. Miała kształtne sutki i wielką odwagę w serduszku. Wyszli więc razem, nie zważając na pierwsze krople jesiennego deszczu. Podwójny agent „Katarzyna” nie będzie czekał wiecznie. Tym bardziej, że nie lubi moknąć.

Część II

Mieli się spotkać w lesie, w opuszczonej chatce leśniczego. Porucznik Agatka i Misio szli powoli uroczyskiem w stronę skrętu do dawnej leśniczówki. Misio zatrzymał się, wyciągnął papierosa i spokojnym, stanowczym głosem nie znoszącym sprzeciwu powiedział:

- Poruczniku, dalej pójde sam. Niech sierżant Petlura przyprowadzi 2 pluton jako moją obstawę, tylko niech zrobi to po cichu. Zaś ty pani porucznik zostańcie w obozie i pilnujcie obiadu - zakomenderował kapitan, po czym spokojnym miarowym krokiem ruszył w stronę leśniczówki. Peema miał przewieszzonego przez ramię, mimo iż był odbezpieczony. Nie spodziewał się pojmania go, jednakże zachował odpowiednie środki ostrożności. Po 5 minutach marszu doszedł do leśniczówki. Sprawdził ją. Nie było nikogo. Tak więc spokojnie rozsiadł się przed wejściem i wyciągnął dropsy miętowe. Taak... Papierosy i dropsy miętowe były jego jedynymi nałogami. Dwie godziny później zaczął się niepokoić. "Katarzyna" spóźniał się już o dwie godziny! Wcześniej nigdy się to nie zdarzyło. Zaczął podejrzewać kocioł. Już chciał wyjmować stację radarowo-nadawczą, ukrytą przemyślnie pod krzaczkiem jagód, kiedy nagle usłyszał:

- Chodźże tu, bo już nie wytrzymuję !

Słuch go nie mylił. Był to głos "Katarzyny". Misio wszedł do leśniczówki i rozejrzał się.

-Tu jestem - jęknął "Katarzyna".

Misio podniósł głowę. "Katarzyna" wisiał na powale, wciśnięty między żyrandol a framugę okna.

- Musiałem się ukryć. Podejrzewałem wsypę - powiedział zeskakując. Uszkodzona w bitwie pod Wagarią rzepka przemieściła się z chrzęstem, jednak agent zręcznie przemieścił ją z powrotem. Jak każdy podwójny agent miał na sobie paradny mundur sturmführera armii scholandzkiej. Dla niepoznaki założył elegancką perukę marki "Strudelheim" i okularki lennonki wz. 1934.

- Spodziewałem się kobiety - rzucił Misio na dzień dobry.

- Jak się nie ma co się lubi to się lubi co się ma ! - riposta "Katarzyny" była szybka.

Misio obejrzał sobie nowego agenta od stóp do głów. Nie wyglądał zbyt okazale, ale przecież był mieszanką Sarmaty i Scholandczyka.

"Katarzyna" usiadł na stołku który podpierał drzewo, wyciągnął piersiówkę i pociągnął łyk. W pomieszczeniu rozniósł się zapach wódki. Misiowi zebrało się na wymioty - nienawidził alkoholu. Powstrzymując pawia znalazł drugi taboret i usiadł spokojnie.

- Nowy w interesie? - zapytał powoli.

- Nie. Nowy w tym rejonie. Niezły bałagan żeś tutaj narobił.

-Takie życie. Sie gra sie ma. Ale do rzeczy.

- Za 2 dni linią kolejową Athos - Krez będzie jechał pociąg wyładowany amunicją i rannymi. Z informacji jakie posiadam wynika iż jest to amunicja przeznaczona dla oddziałów tłumiących partyzantkę gellońską. Dowództwo myśli, że to dobry cel na następną akcję.

- Jakie dowództwo? - zapytał podejrzliwie Misio.
- No dowództwo, sarmackie - niepewnie odpowiedział "Katarzyna".
- Aha. Na tym terenie to ja jestem dowództwem ! - zdenerwowany Misio

wyciągnął Lugera - Te sieroty co przegrały wojnę mogą mi tylko proponować. Naucz się tego bo skończysz szybko jako pokarm dla mrówek.

- Spokojnie, szefie, ruhić! Nie ma powodu do nerwów. Akcja jest prosta jak pióro kukuła. Wystarczy znaleźć dogodnie miejsce na zasadzkę i bach! Załatwione. Ludzi Ci zdaje się wystarczy?

-Wystarczy - odpowiedział Misio bawiać się pistoletem - Powiedzmy, że się zastanowię.

- Zastanów się - "Katarzyna" wstał i ruszył do wyjścia.

-Wiadomość zostaw w skrzynce kontaktowej numer 7.

- Siódemka to ten pojemnik na zużyte miny przeciwczołgowe?

-Tak jest.

- Jeszcze jedno. Amunicja z tego transportu ma być przeznaczona dla oddziałów antypartyzanckich, tak?

- Dokładnie tak.

-A dla kogo przeznaczeni są ranni?

"Katarzyna" umilkł na dłuższą chwilę.

- Oni są dla...dla Wielkiego Wszechołandzkiego Monstrum.

Po raz pierwszy od czasu pierwszego transportu do obozu pod Misiem ugięły się nogi.

- Nie czas na pieprzenie. Trzeba do iść do roboty - powiedział pospiesznie "Katarzyna" i począł kierować się w stronę drzwi.

- Czekać - rzucił Misio tonem nie znającym sprzeciwu (rzucił nim często) - Czemu to robisz?

- Co robię? - odpowiedział "Kasia".

- No, to wszystko. Całą tą konspirację od siedmiu boleści. Czemu to robisz? Zastanawiałeś się nad tym? - zaczynał filozofować Misio. Im stawał się starszy tym częściej myślał nad życiem.

- No robię to dla ojczyzny i dla kraju - odpowiedział bez namysłu "Katarzyna"

- Pierdolisz. Na pewno masz jakiś inny powód. No ale spieprzaj do swoich schołandzkich przyjaciół. Do zobaczenia.

Część III

Sielankę rozmowy przerwał wybuch.

-Wydałeś mnie kurwo ! - krzyknął Misio i pośpiesznie wyciągnął Lugera.

- Nie nie, przysięgam - stękał "Katarzyna". Przejmujące zimno lufy pistoletu Misia było środkiem skutecznie zmiękcającym przeciwnika i odbierającym mu wolę oporu.

- Módl się, że to nic groźnego, bo... A z resztą, Ty dobrze wiesz co. Misio podbiegł do okna i szybko wyjrzał. Widać było tylko dym na polnej drodze. Nie był zadowolony.

- Jaa pierdole... - rzucił przez zęby. Sekundę potem nie było go już w domu. Biegł co sił w nogach do miejsca wybuchu. Wiedział już, że to nie była zasadzka...

Na środku drogi widać było piękny lej od wybuchu. Dookoła unosił się kurz i inne przedmioty leśne. Misio uważnie rozejrzał się po okolicy. Nie było nikogo i niczego co mogłoby spowodować wybuch.

Chwilę potem dobiegł do niego "Katarzyna".

- Cicho... - uciszył go Misio. Las dookoła był spokojny. Słychać było

tylko krakanie wron. Jednak uwagę Misia przykuł cichy szelest w krzakach. Podbiegł szybko... i omal nie zemdlął z wrażenia. "Katarzyna" również.

Ich oczom ukazała się porucznik Agatka, a raczej to co z niej zostało. Cała dolna część ciała musiała zniknąć w wybuchu, widać było, że eksplozja dosłownie urwała jej obie nogi. Tam gdzie niegdyś były pośladki, teraz można było zobaczyć kawałki mięsa bezwolnie zwisające z reszty ciała. Żyła, ale widać było, że to jej ostatnie chwile.

- Bo ja chciałam... Chciałam, żebyś się pospieszył... Obiad wystygł... - jęczała zwiijając się z bólu.
- Spokojnie, już spokojnie - uciszał ją Misio.
-To już koniec... - wyszeptał "Katarzyna".
-Trzeba... Już... Chwila... - jęczał się Misio. Obsesyjnie szukał swojego Lugera. Znalazł go, sprawdził czy naładowany i wycelował go w Agatkę. Trzymał go tak chwilę, po czym opuścił go i popatrzył na "Katarzynę". Twarz Misia była blada i oblana potem. Nie wiedział co zrobić.
- Masz, Ty to zrób - błagał "Katarzynę".
- Nie mogę - odparł łącznik.
- Strzelaj, kurwa ! - wrzeszczał Misio
- Nie mogę !
-To ja to zrobię ! - strzał w głowę zakończył karierę pani porucznik.
-To przez te wasze scholandzkie miny. Co za gówno ! - rzucił Misio co chwilę, oglądając lej po bombach i resztki zapalnika. Widać było, iż jest to zapalnik od miny przeciwpancernej. Miał on wygrawerowane na czubku nazwę fabryki - Minen AG.
- Nie umiecie odpowiednio ustawić zapalników, skoro nawet piechur może spowodować eksplozje miny przeciwczołgowej. Lepiej nie wiedzieć jakie są przeciwpiechotne...
- Odpieprz się, wiesz ! Co mnie to obchodzi?! - zaczął wrzeszczeć "Katarzyna".
- Co Cię to obchodzi? Że to dzięki twoim kumplom Agatka wyleciała w powietrze !
-To nie są moi kumple, rozumiesz? Jestem prawie takim samym Sarmatą jak ty !
- Spierdalaj...
- Słucham?
- Spierdalaj, zanim nie rozwalę Ci łba, rozumiesz? - powiedział spokojnie, acz stanowczo, Misio.
- No dobra... Jeszcze mnie popamiętasz... - rzucił na pożegnanie.
"Katarzyna" już nie pojawił się w okolicy. Zginął tydzień później w nalocie bombowym. Także Misio miał mieć nowego łącznika. I co ciekawe
-
o tym samym pseudonimie...

Jądro w ciemności część 4 - "Nigdy w rzywie"

Misiowi generalnie się powodziło. Nie narzekał na brak zajęć, wskazał, że walka z okupantem była jego obowiązkiem i hobby zarazem. Oddział jego,

mały i mobilny, dobrze wyszkolony i uzbrojony zadawał duże straty przeciwnikowi w okolicach Athos. Misio nie przejmował się też "agentami z dupy" jak nazywał członków wywiadu sarmackiego. Niby obiecywał spotkania z łącznikami, ale nigdy się na nich niepojawiał. Nie było mu to do życia potrzebne - sam sobie radził i wychodził na tym całkiem nieźle. Okoliczni wieśniacy traktowali go jak półboga, jednakże on nie pozwalał na szerzenie się wokoło jego kultu. Chciał, aby mieszkańcy okolicy znali i cenili go za to czego dokonał. A dokonał wiele. 14 pociągów z amunicją wyleciało w powietrze, kilkanaście składów paliwa spłonęło w sposób dość widowiskowy, wojsko scholandzkie nie miało czego szukać na tym terenie. Tam gdzie działał, to on był władzą, tutaj nadal była Sarmacja. Jego żołnierze, w większości jego byli podwładni z kompanii, byli ubrani w sarmackie mundury i nosili sarmackie hełmy. Tylko broń była zdobyczna. Swoją walką zapewniał mieszkańcom Gór Kocich ochronę i bezpieczeństwo. Ale do czasu...

Misio wstał. Ziewnął przeciągle, przetarł oczy i rozejrzał się po pokoju. Od śmierci por. Agatki sam musiał sobie robić śniadanie. Ale nie stanowiło to dla niego dużego problemu. Dzień zaczynał papierosem na ganku swojej chatki. Od czasu kiedy mieszkał sam, obozował daleko od reszty oddziału. Jego melina była dobrze ukryta w lesie i tylko on wiedział gdzie stoi. Nie pozwalał swoim żołnierzom chodzić za nim, aby scholandzki kontrwywiad nie mógł go złapać. I jego żołdacy respektowali ten rozkaz. W ich interesie było nie śledzić swojego kapitana, bo ten bez wahania, za złamanie rozkazu, zastrzeliłby takowego.

- Kurde, kończą mi się fajki - zaklął po cichu Misio. Ubrał swoje spodnie, założył mundur i kurtkę, wziął hełm. Podszedł do swojego "kredensu" z którego ceremonialnie wyciągnął swój ukochany pistolet. Wychodząc chwycił karabin i wyszedł zamykając za sobą drzwi na klucz. Szedł w stronę obozowiska swojego oddziału. Chciał wziąć papierosy od któregoś z żołnierzy. Idąc leśną ścieżką w pewnym momencie skręcił w chaszczkę. Zawsze wchodził do obozu z innej strony. Wyciągnął swoje ulubione dropsy miętowe marki "Miętowe mocne" i zaczął mlaskać. Szedł powoli, troszkę ospale, nucąc sobie pod nosem:

- Dziewczyny z Awary brakuje mi do pary...

Szedł tak może z 10 minut. Zatrzymał się w pewnym momencie zaniepokojony. Nie słyszał obozowiska. Zawsze idąc do niego, kierował się słuchem, zawsze było słychać jak ktoś krząta się po obozie, rozmawia, myje się. A teraz była martwa cisza. "Coś jest nie tak" pomyślał. Odbezpieczył swój pistolet maszynowy, sprawdził stan pistoletu i zaczął skradać się do miejsca, gdzie powinni być jego żołnierze. Kierował się kompasem, mniej więcej wiedział jak dojść do obozu. Podkradał się z 15 minut, zanim zobaczył znajomą polankę. To tu! Położył się na ziemi i wyciągnął lornetkę. Jednakże rośliny przeszkadzały w obserwacji terenu.

- Kurwa... - zaklął cicho. Podczołgał się jeszcze parę metrów.
Podniósł lornetkę i popatrzył przez okular. Szczęką omal nie wykopał
dziury w ziemi.

Obóz był zniszczony. Z tego co zdążył zauważyć dużo żołnierzy zginęło. Nie wiadomo czy się bronili, prawdopodobnie nie. Misio kłął na to, że tak twardo śpi. W nocy nic nie słyszał, a bez wątpienia była tu krwawa walka. Prawdopodobnie ktoś wydał okupantowi, gdzie jest obóz oddziału Misia. Kilku wieśniaków dostarczało żywność dla żołnierzy. Chciał podejść i sprawdzić, czy ktoś ocalał, ale nie wiedział, czy Scholandczycy nie postawili straży przy tym pobojowisku. Miał szczęście, że okupant nie znał jego wizerunku, bo inaczej przeszukałby las. Dla własnego bezpieczeństwa położył się na trawie i czekał. Brak papierosów doskwierał mu bardzo.

Po ok. dwóch godzinach tam gdzie niegdyś obozowali "Misiosbanditen", jak nazywała ich wroga propaganda, Misio zauważył wieśniaka. Był to Henryk Pćim, jeden z dostarczających żywność dla żołnierzy. Misio mu nie ufał, wydawał mu się miglancem i koniunkturalistą. Kupował od niego tylko dlatego, że miał najlepsze ziemniaki w okolicy. "Pewno zapłacili mu więcej" pomyślał Misio. Po cichu obserwował wieśniaka. Ten zaczął obszukiwać trupy, ściągał ubrania i buty, szukał zegarków.

- Hande hoch verfluchte sarmatische Schweine ! - zakrzyknął z lasu z wyraźnym scholandzkim akcentem Misio. Był kiedyś ponad rok w Scholandii, gdzie był na praktykach na uniwersytecie w Szkolinie. Nauczył się tego specyficznego akcentu pijąc wódkę w barach.

- Nicht schussen, nicht schussen ! - zajęczał wieśniak.

Misio z wycelowanym karabinem wyszedł z krzaków. Nie chciał zemsty, ale wiedział, że jak Pćim go sprowokuje, to go zastrzeli.

-Wydałeś nas, kurwo - spokojnie i z demonicznym uśmiechem Misio przywitał się z Heniem.

- Co?! Chyba Cię pogięło?! JA?! - płakał wieśniak.

- No to co tu robisz? - pytał dalej i stanowczo Misio.

-Yyy... Ja ten, no... Przyszedłem z ziemniakami...

- I zabierałeś zegarki? Dobra dobra, więcej Ci zapłacili?

- Słucham?

- Przecież wiem, że to ty - powiedział Misio. Na jego twarzy znów pojawił się demoniczny uśmiech.

- O czym ty mówisz?

- Mam Cię zastrzelić jak psa?

-Ale to nie ja ! - płakał wieśniak.

-W głowę, czy w klatkę piersiową?

-To nie ja ! Rozumiesz !?

- No gadaj, bo muszę sobie zapalić - Misio wiedział, że jest panem sytuacji.

-Aaa... - płakał Henryk - Przyszli do mnie i powiedzieli, że jak Cię nie wydam, to zabiją mnie i całą moją rodzinę... Co miałem zrobić?

- No cóż. Ale i tak jesteś mendą. Wybieraj nogę - zarządził tonem nieznającym sprzeciwu Misio.

-Ale po co?

- No karę i tak musisz ponieść - powiedział Misio i strzelił mu w prawą nogę. Po lesie rozległ się jęk wieśniaka.

- Nie umrzesz, ale Cię poboli troszkę. A teraz spierdalaj kopać pyrki.
Tak więc Misio pozostał bez oddziału. Nie wiedział co począć.

Postanowił wrócić do chatki i pomyśleć. Ale najpierw potrzebował papierosa.

Jądro w ciemności część 5 - "Anal z Zielonego Wzgórza"

- Yyy... Dzień dobry... No więc mam problem...
- Co jest?! Kim ty jesteś?! To prywatna częstotliwość!
- Tutaj Misio. Mam problem.
- Aaa witamy witamy... Strach do dupy zajrzał to się zgłaszamy?
- Zamknij łeb. Mam problem.
- No no, co tak ostro? Spokojnie, powoli, po co się spieszyć?
- No więc, rozbili mi oddział. Jednej nocy. Prawie wszyscy zgineli, tylko kilkoro poszło do niewoli, ale pewno oni też już nie żyją. Chodzi mi o to, że w Górach Kocich jestem już spalony. Potrzebuje transportu.
- No koleś, to masz faktycznie problem. A gdzie ten transport?
- W okolice Czekan. Tam mam kilku znajomych, zrobimy nową bandę.
- To trochę daleko.
- Na piechotę nie dojdę, bo mnie złapią i kaplica. A jechać nie ma jak, bo na drogach kontrole.
- Ale tam się kręci dużo wojska.
- No to tym lepiej. Zwiążemy duże oddziały, a w innych częściach kraju walka będzie się toczyć.
- No ok. Zmieniłeś się trochę...
- Cicho. Na razie.

Rzeczywiście Misio trochę się zmienił. Nie był już tak pewny siebie. Nadal miał wolę walki. Choć teraz myślał trochę mniej egoistycznie niż wcześniej. Ciągłe palił papierosy i ssał drosy miętowe. Jednak nie były to już jego ulubione "Miętowe mocne". Skończyły się mu zapasy tego boskiego pokarmu. Zostały mu tylko tropicańskie "Mintos Bravos", które były całkiem znośne i obłeśne scholandzkie "Das Drops", które z miętą nie miały wiele wspólnego.

Centrala "agentów z dupy" poinformowała go, że łącznik o pseudonimie "Katarzyna" spotka się z nim koło wsi Gnojnik koło Athos, celem przekazania bliższych informacji. Misio miał już wcześniej spotkać się z "Katarzyną na bis" ale uznał, że nie jest mu to potrzebne. Wiedział, że musi schować swoją dumę do kieszeni i póki co działać tak jak Centrala mu będzie kazała. Ale potem... "Potem to mi mogą pociągnąć" myślał sobie w duchu i śmiał się z tego za każdym razem. Straszne przeżycia nie odebrały mu jego specyficznego poczucia humoru.

Punkt kontaktowy był zlokalizowany w stodole. Misio miał wejść, puścić trzy rzy bąka i powiedzieć: "Ależ tu wali!". Łącznik miał odpowiedzieć: "No bo jak się nie myjesz...". Misio uważał to za niedorzeczność. Nie można było poprostu wejść i się przejść do rzeczy? No ale to nie on służył w wywiadzie. I cieszył się z tego, bo musiałyby się bardzo męczyć z tymi idiotami. Przynajmniej on tak uważał. Kiedy jechał na praktyki do Szkolina, na Wydział Parapsychologii, na

Uniwersytecie Królewskim, wywiad chciał go zwerbować. Ale powiedział "żeby spierdalali". A jechał na te praktyki jako student II roku

historii, żeby przekonać się, że są jeszcze więksi idioci niż studenci matematyki teoretycznej. Sposób nauczania akademickiego w tym czasie w Sarmacji był dość specyficzny.

Noc była ciemna. Na niebie wisiała gęsta warstwa chmur, idealna aura do skradania się. Ale Misio miał to gdzieś. Dziarsko przedefilował przez wieś z karabinem na ramieniu i skręcił w stronę umówionej stodoły. Nie mogąc otworzyć drzwi odstrzelił zamek. Wszystko oczywiście w konspiracji. Drzwi otworzył potężnym kopniakiem, tak jak to miał w zwyczaju i wbiegł z karabinem gotowym do strzału. Teraz leżąc gdzieś w sianie zaczął pierdzieć rękami. Tą ciekawą umiejętnością nabył w szkole podstawowej na lekcjach chemii. Nie przypuszczał, że kiedyś mu jeszcze się przyda. Po umówionych trzech bączkach, krzyknął:

-Ale tu je... wali !

- No bo jak się nie myjesz... - brzmiała odpowiedź.

- Szkoda - Misio miał dzisiaj wielką ochotę sobie postrzelać.

- Żeś to kurwa bardzo po cichu zrobił - odpowiedział głos. Misio nie widział dobrze postaci. W cieniu zauważył tylko jej zarys. Po głosie poznał, że była to kobieta.

- No no no... O to słynny komendant Misio... Ciekawe miejsce na spotkanie - z cienia wyłoniła się postać łącznika. Była to młoda dziewczyna, o włosach blond upiętych w kitkę. Miała może z metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Była niższa niż Misio.

-Wspaniale... No to dawaj informacje słońce.

- Spokojnie. Sprawa wygląda tak. Ponieważ tutaj nigdzie nie wylądaje samolot, musimy się dostać w okolice Feru i dopiero stamtąd próbować.

- Co?! To jest ten niby ekstra plan? To jest jakaś kpina...

- Oj problemy wojenne... - tłumaczył się łącznik - Na piechotę zajmie nam to z tydzień.

- No dobra... Ważne żeby dotrzeć na to lotnisko... Fer... Cóż za posrana logika...

- Oj weź zamknij się, bo nie mogę Cię słuchać - odpowiedziała "Katarzyna na bis" jak sobie nazwał łącznika Misio. Zaskoczyła go ta odpowiedź. Ale miło. Szykował się wspaniały tydzień...

Jądro w ciemności vol. 6 - "Noł hau"

Droga na piechotę z Athos do Feru była niezbyt przyjemna. Długa i wyczerpująca, na dodatek poprzez puszcze Gellonii. Aura również nie sprzyjała pieszym wędrówkom po lesie. Ale... Ale czego nie robi się dla Sarmacji?

Misio traktował tę podróż jako urlop, spacer. Nie przejmował się tym, że w każdej chwili może zostać złapany przez wroga, rozebrany i zastrzelony. Nie przejmował się tym, że było mu zimno. Nie przejmował się tym, że podróż jest ciężka i że musi przedzierać się przez las. Denerwowały go jednak dwie rzeczy. Nie miał papierosów... Jego towarzyszka podróży nie paliła, bo uważała to za skrajnie nieodpowiedzialne i niezdrowe zachowanie. Co więcej, nie pozwalała mu

kupować nowych paczek. Misio czasami miał ochotę ją zastrzelić.
Drugim, mniejszym problemem, była właśnie jego towarzyszka podróży.
Jak się okazało, "Katarzyna na bis" nosiła dźwięczne i starosarmackie

imię Aleksandra. Była ładna, choć Misio nie starał się aby mu się za bardzo spodobała. Miała nad nim jeszcze jedną przewagę - znała drogę na supertajne lotnisko pod Ferem. I właśnie te dwa atuty - uroda i wiedza sprawiły, że Misio nie zastrzelił jej w lesie. Bo powodów miał wiele.

Ola nie pozwalała mu kupować i palić papierosów. W oczach Misia była to niewybaczalna zbrodnia, za którą powinno się wymierzyć najwyższą karę. Co więcej - była ambitna i potrafiła się postawić Misiowi, a on bał się takich kobiet. Poza wszystkim zaangażowała się w walkę klas. Jako działaczka komunistyczna działała na terenie Morvanu i starała się, jak ona to nazywała, "wywłaszczać obszarników". Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie starała się narzucić Misiowi swoich poglądów. A starała się to robić na każdym kroku. Misio, jako politycznie obojętny, miał dosyć ciągle trajkoczącej, plore тариackiej młodej damy. A ona ciągle nawijała mu o sprawiedliwości społecznej, o walce klas i

o demokracji ludowej, o radach robotniczych, o walkach z obszarnikami etc. etc.

- Słuchaj, jak jeszcze raz będziesz mi mówiła o tym całym czerwonym gównie i o jakichś towarzyszach to Cię zastrzele, tutaj gdzie stoimy i na dodatek z zimną krwią.

-Ale czy Ty nie widzisz, że to jest przyszłość?!

-W dupie to mam. Dopóki żadna władza nie włada mi się z butami w życie będzie mi ona zwisać nisko. Ja walczę nie dla jakichś idei politycznych czy frakcji. Ja walczę dla samej Sarmacji. I to ona jest celem. A nie jakaś tam "sprawiedliwość społeczna", czy "walka klas".

- Jak dla mnie to jesteś sierotą.

Misio nie chciał mieć z polityką nic do czynienia już na studiach, gdzie był atakowany przez różnego typu działaczy młodzieżówek, a potem partii politycznych. A, że poglądy młodego studenta historii były proste jak drut, albo wcale ich nie było, dał sobie spokój z tym i przepędzał wszystkich "zaangażowanych" swoim pistoletem. Już od małego chciał służyć ojczyźnie. Ale służyć ojczyźnie to nie służyć władzy, tylko służyć obywatelom i ogółowi.

Ale pomimo tych denerwujących przemówień i pouczeń polubił swoją towarzyszkę podróży. Przez te kilka dni zdążył się do niej przywiązać i wiedział, że będzie mu jej brakowało. No może poza tym, że zabraniała mu palić. Nałóg był silniejszy od przyjaźni.

Szli równo tydzień. Siódmego dnia doszli w wyznaczone miejsce. Była to dość duża polana położona w lesie. Trawa była równo skoszona, widać było, że to prowizoryczne lotnisko było zadbane i dość często używane. Nie prowadziła do niego jakaś specjalna ścieżka, dochodziło się tam przedzierając się przez las i jego krzaki. Docierając do lotniska Misio i Ola mogli zauważyć stojący i, tak przynajmniej im się wydawało, czekający na nich samolot. Jednakże te tygodnie spędzone na partyzantce w lesie czegoś Misia nauczyły - nigdy nie wychodzi na leśną

polanę bez uprzedniego sprawdzenia terenu. Jego koleżanka była widać niedoświadczona w leśnej walce, skoro zaczęła dziarsko maszerować w stronę łądowiska.

- Stój - rzucił półszeptem Misio.
- Co znowu?! Przecież czekają na nas - odpowiedziała mu Ola wyraźnie zniecierpliwionym tonem.
- Stój, powiedziałem - Misio znów użył swojego tonu nie znającego sprzeciwu.
-Ale po co?
- Mówię stój. A najlepiej to padnij - powiedział Misio. Wyciągnął swoją lornetkę i podczołgał się parę metrów. Popatrzył przez okular i dokładnie zlustrował polankę.
- Oho ! Tak jak przypuszczałem. Znowu się nie zawiodłem na sobie. Masz, popatrz, co widzisz?
Ola wzięła lornetkę.
- No samolot i żołnierzy wokół niego.
-A co to za żołnierze?
- No nasi, sarmaccy - naiwnie rzuciła dziewczyna.
- Ech, dziecko, jak Ty mało jeszcze wiesz o wojnie.
Misio się nie mylił. Na polanie może i stał samolot, może i był w barwach sarmackiego lotnictwa, ale żołnierze wkoło już nie. Cieszył się, że ta zasadzka była nieprofesjonalnie zrobiona, mimo iż żołnierze scholandcy byli z elitarnego oddziału - Fuhrer-Begleit-Batallion, czyli „plus minus, gwardii przybocznej króla. Widocznie musiał się nieźle narazić nowym władcom Sarmacji, skoro nasyłali na niego gwardię królewską.

-To co teraz robimy - zapytała przestraszona Aleksandra.
- Uciekajmy. Ale powoli i po cichu, żeby nas nie zauważyli. Powoli i czujnie oddalili się od miejsca spotkania. Poszli na zachód, wg. Misia miała tam znajdować się jakaś wieś, gdzie mogliby przenocować, coś zjeść i pójść dalej, do Czekan.

- Pewno ta twoja posrana "centrala" miała jakąś wtyczkę i nas wydała...
- Możliwe. Ale to monarchofaszystowska centrala. Działam w niej tylko dlatego, bo komunistycznej jeszcze nie ma.
- Oj weź skończ z tym politycznym pieprzeniem. Żyć się chce...
Idziemy, może nas nie widzieli.
Jądro w ciemności vol. 7 - "Maria, Milena i Koń"

Po wpadce z samolotem Misio postanowił działać od tej pory całkowicie na własną rękę. Mógł w sumie w każdym miejscu w kraju zorganizować oddział leśnych ludzi i walczyć z okupantem. Problem był jednak znacznie głębszy. Otóż świeżo upieczona towarzyszka niedoli Misia - Aleksandra koniecznie uparła się, żeby iść do Czekan. Misio zastanawiał się, co skłoniło ją do takiej determinacji. Po części nawet odpowiadało mu to, że idą w tamte okolice. Wskaże były to jego rodzinne strony...

Misio urodził się dokładnie 32 lata temu, w dosyć zamożnej, szlacheckiej rodzinie. Ojciec jego miał dworek i kilkanaście hektarów

ziemi we wsi Musztardów koło Czekan. Matka jego pochodziła z Krezu, z

bogatej rodziny mieszczańskiej i była 3 córką w kolejności. Dlatego wyszła za właściciela ziemskiego. Ojciec Misia był współnikiem dziedzica Czekan, hr. Czekańskiego, z którym żył w głębokiej przyjaźni. Sam hrabia był częstym gościem w musztardowskim dworze. Misio zapamiętał go doskonale. Podobno hrabia miał kilka córek i synów, jednak w Musztardowie pojawiał się zawsze sam. Nigdy nie zapraszał rodziny Misia do pałacu w Czekanach. Ojca zawsze to zastanawiało, jednakże nie przejmował się tym zbytnio.

Idąc teraz w stronę swojego rodzinnego domu, Misio wspomniął listy od matki, które ona to wysyłała do niego aż do kapitulacji armii. Potem kontakt się urwał. Misio nie wiedział, czy żyje. Nie chciał jej odwiedzać, zwłaszcza po tym, jak rozpoczął działalność partyzancką. Bał się, że może spotkać ją niebezpieczeństwo. Ojciec jego zmarł na kilka lat przed wojną.

W stosunkach między Misiem a Olą też wiele się zmieniło. Ona pozwoliła mu w końcu palić - co prawda po "twardych negocjacjach", ale fakt jest faktem. Jego zaś przestało irytować to jej polityczne gadanie. A ona nawet jakby mniej mówiła o swoich rewolucyjnych planach. Misia jednak nurtowało cały czas, czemu Ola koniecznie chce iść do Czekan.

- Powiedz mi słońce, co Ciebie tam tak ciągnie? - spytał pewnego razu Misio. Siedzieli wtedy w lesie, przy ognisku i smażyli upolowane kukuły inkaskie. Misio trenował strzelanie celując właśnie do kukułów.
- Nie ważne. Niech Cię to nie interesuje - odburknęła mu Ola.
- No właśnie ważne ważne. Bo widzisz - to są moje strony rodzinne. Ola zakrztusiła się kukułem.
- Słucham? - odpowiedziała, pokaszując trochę.
- No tak tak. Pochodzę ze wsi Musztardów.
- Wiem gdzie to jest, ale tam nigdy nie byłam.
- A co? Ty też stamtąd? - odpowiedź na to pytanie nie zdążyła paść.
- Hande hoch !

Misio nie zdążył nawet zareagować. Był na siebie bardzo zły, że dał się podejść w tak dziecinny sposób. Broń jego leżała kilka metrów od miejsca w którym siedział. Uspokoiło go to, że od kilku dni nie było widać przeciwnika. Tak więc Misio i Ola zostali pojmani w sposób łatwy.

Banszuce zapakowali ich do czarnej furgonetki. Misia cieszył fakt, że nie wiedzieli z kim mają do czynienia. Dostali silną eskortę czterech żołnierzy siedziąco z nimi "na pace". Zza przedartej plandeki Misio widział gdzie ich wiozą. Było to miasteczko Elżbietów, przemianowane teraz na Fort Elsa (na drogowskazie oryginalna nazwa została skreślona, a nową nieudolnie domalowano farbą). Jechali na posterunek policji. Zatrzymanie się ciężarówki oznaczało dotarcie na miejsce. Banszuce wyciągnęli dwie pojmane osoby i niezbyt prędko zaprowadzili na posterunek, do pokoju przesłuchań.

A pokój przesłuchań był typowym, policyjnym... pokojem przesłuchań.
Pośrodku stał stół, a przed stołem dwa krzesła. Była też lampa z mocno

świecącą żarówką. Na ścianie widniał portret jakiejś osoby - Misio nie widział jej zbyt dobrze, gdyż była w cieniu. Banzuce posadzili ich na krzesłach i kazali czekać. W pomieszczeniu zostało tylko dwóch żołnierzy. Misio mógłby próbować ich załatwić, ale co potem? Nie był przecież sam, musiał jeszcze uratować Olę. Czuł się za nią odpowiedzialny, to przez niego trafili do aresztu.

-Tschien tobry sarmackie fyfloki. Mejne naswisko ist Hajnrís Pfert i jestem ofiserem SS. Bende was pszesłuchifał !
Heinrich Pferd był Obersturmführerem - Misio rozpoznał po pagonach. Nie był zachwycony tym, że będzie bity po mordzie przez SS. Martwił się jednak o Olę. Bał się, żeby nie bili jej mocno.
- Dopsze ! Najpierf sprafcimy wasze nasfiska i miejsca zamieszkania ! Nie macie dokumentuf taksze sprawcimy to w kartotekach ! Jeśli muficie nieprafde, to kiepsko s fami ! Ty lala ! Gadaj pierfsza !
Oli pocięły łzy po policzkach. Nie zdziwiło to Misia, spodziewał się tego.

- Nazywam się Aleksandra Czekańska. Miejsce zamieszkania - Czekany powiedziała pół szeptem Ola.

Misio omal nie wyrócił się z wrażenia. Gdyby nie to, że był przywiązany do krzesła, z pewnością znalazł by się na podłodze.
- Co kurwa? Kto ty jesteś niby? - z niedowierzaniem zapytał Misio. Tą krótką rozmowę przerwał ssmąński but na jego twarzy.
Jądro w ciemności vol. 8 - "Nie k*rwa, skup butelek !"

Ciężarówka jechała powoli. Czasami rzucało nią na jakiejś dziurze, ponieważ podróżowali boczną drogą. Głównymi było strach jeździć, czasami brakowało kawałka asfaltu, mostu lub były położone miny. Często słyszało się o wylatujących w powietrze ciężarówkach z żołnierzami. Dlatego starano się unikać głównych tras i jeżdżono bocznymi. Tutaj z kolei byli partyzanci, ale Scholandczycy uważali to za mniejsze zło.

Misio był pobity, bo nie chciał wyjawic jak miał na imię. Jechał teraz w nieznanie miejsce, być może była to jego ostatnia podróż w życiu. Nie był zły, raczej przygnębiony. Strażnicy nie dawali mu papierosów, rozłączono go z Olką i nie wiedział co się z nią dzieje, poza tym był głodny i pobity. Dobry humor rzadko trafia się w takich niesprzyjających okolicznościach. Zastanawiał się, co z nim będzie i co się stało z Olą. Ostatni raz widział ją tuż zanim otrzymał kopniaka w twarz.

Razem z nim na pace jechało 5 żołnierzy ubranych w mundury SS. Dwóch z nich miało broń maszynową. Misio nie miałby szans na ucieczkę, nie zdołałby nawet spróbować, bo od razu zginąłby od serii z pistoletu. Dlatego siedział spokojnie, starając się zdrzemnąć. Raz po raz otwierał oko, żeby sprawdzić czy nie chcą go zastrzelić. Nie chciał zginąć w nieświadomości, wolał widzieć jak będą do niego celować i

ciągnąć za spust. Był gotów na śmierć, pogodził się z tym faktem że zginie. Chciał tylko jednej rzeczy zanim odejdzie z tego świata

ostatniego papierosa.

W pewnym momencie ciężarówka zatrzymała się. Do ciężarówki podszedł jakiś frejter i poprosił 3 żołnierzy, w tym dwóch z peemami, aby wyszli. Misio podsłuchiwał o czym mówili. Znał dobrze niemiecki, nauczył się go w lokalach Szkolina (od tamtej pory nienawidzi alkoholu). Nie przyznał się, że rozumie o czym jego wrogowie rozmawiali. A gadali o tym, że na drodze stoi wóz z osłami i nie chce zjechać z drogi. Podobno wieśniak też niespecjalnie starał się ustąpić miejsca konwojowi. W tym momencie przez umysł Misia jak błyskawica przeleciała myśl: "Chwila chwila, wydaje mi się to znajome..." Znał te sposoby, na tzw. "wieśniaka". Czym prędzej padł na podłogę ciężarówki i zasłonił głowę skutymi rękoma. Strażnicy wstali, żeby podnieść Misia. Nie zdążyli, seria z kilku karabinów przecięła ciężarówkę jak maszyna do szycia nową sukienkę córki. Słychać było strzały z broni maszynowej, wybuchające granaty. Misio modlił się, żeby jeden z nich nie wleciał do ciężarówki - wtedy nici z ratunku. Wiedział, że jest szansa na uratowanie, nie chciał zginąć od wybuchu. Dlatego leżał sztywno na podłodze, starając się leżeć jeszcze bliżej i kurczowo zasłaniał głowę rękoma.

Po kilku minutach strzały ucichły. Misio sprawdził czy jeszcze żyje, ale nadal się nie poruszał. Słuchał tylko intensywnie, czy wygrali partyzanci, czy może Scholandczycy. Pierwsze głosy w rodzimym języku uspokoiły go nieco. Nadal jednak pozostawał w bezruchu. Słyszał, jak ktoś podchodzi do ciężarówki i unosi pokrycie paki. Widocznie ktoś zajrzał na tył wozu i odszedł. Potem rozległo się:

- Panie komendancie, tutaj ktoś jest !
- Swój czy wróg? - głos komendanta brzmiał Misiowi znajomo, jednak nie potrafił sobie przypomnieć skąd mógł go znać.
- Nie wiem. Chyba żyje. Jest zakuty !
- Pokaż no mi go - brzmiał rozkaz. Misio słyszał jak ta osoba podchodziła do samochodu. Musiała mieć oficerskie buty, bo chód był dość głośny. Plandeka uniosła się. Misio podniósł głowę. Nie widział dobrze, oczy musiały mu się przywyczaić do światła dnia. Ale powiedział odrazu:
- Panowie... Nie strzelajcie... I dajcie no może papierosa, co?
- Pan kapitan? - odezwał się znajomy głos.
- No w sumie raczej tak...
- Myślałem, że pana kapitana złapali... I, że... No wie sam pan kapitan co...
- Tak wiem. A jak żeś ty się uchowal?
- Kiedy nas napadli, tam wtedy na tej polance, to się nie broniliśmy. To była szybka akcja, typu "szybka piłka - mokry kort". Ktoś chciał biec po pana kapitana, ale nie wiedzieliśmy gdzie. Nie kazał nam pan kapitan przecież chodzić za sobą. Ktoś próbował łapać za broń, ale to odrazu kończył z ołowiem w głowie. Kilkunastu chłopaków zginęło na miejscu, kilku było rannych, ale to ich dobili. Był z nimi też ten

wieśniak od ziemniaków, no jak mu tam... Pćim ! Tak, on też był.
-Wiem. Jak przyszedłem rano po fajki on już tam był i zbierał
zegarki. Powiedział, że musiał nas wydać bo by mu rodzinę zajebali.

- Gówno prawda ! Jak nas odprowadzali do stalagu, to miałem okazję rozmawiać z tym ścierwem. Specjalnie nas wydał, za pieniądze. Podobno mu nieźle zapłacili.

- Patrz. A ja szmacie zaufałem. Za dobre serce mam. Mogłem go zastrzelić odrazu, a nie tylko kolano mu przestrzelić. No ale co z resztą kompanii?

- No zaprowadzili nas do tego stalagu. Potem każdego "przesłuchiowano", czyli bito. Mnie nawet niespecjalnie mocno, bo ja to płótką byłem. Ale panów poruczników to całkiem konkretnie. Petlurę to zakatowali tam, okładali go gazurką i czymś tam jeszcze. No ale, po kilku dniach wzięli nas, czyli tych co przeżyli, na taką łąkę. Całkiem ładna była. Kazali nam się ustawić w czterech rzędach, w każdym po 10. Tych co się nie mieścili, zastrzelili odrazu. Potem kazali nam klęknąć. Wytoczyli wtedy dwie ciężarówki z cekaemami. Ja wiedziałem co się stanie, czytałem w gazetach o takich numerach w Chinach. Zdawałem sobie sprawę, że mam teraz jedyną szansę na przeżycie i ucieczkę. Wiem, dziwne to trochę, ale tak było. Kiedy zaczęli strzelać do pierwszego rzędu, w którym byłem i ja, walili tylko z jednego karabinu. Celowali w głowy. Ja byłem w środku wtedy. Serce waliło mi jak oszalałe. Wszystko to leciało w zabójczym tempie. Wiedziałem, że muszę to zrobić szybko. I kiedy kasowali tych obok mnie, upadłem zanim trafili mnie, że niby nie żyje. Nie sprawdzili, czy nie byłem ranny przypadkiem. Przykryły mnie inne zwłoki i w sumie dzięki temu przeżyłem. Nie widzieli, że jeszcze nie martwy. Szczęście, że zwłok nie sprząтали. Przeleżałem tak pod tymi ciałami aż do nocy. Potem powoli wstałem i zwałem. Musieli mieć zdziwko, jak się rano zwłok nie doliczyli. Ale nie szukali mnie.

- Smutne, powiem Ci sierzancie. Szkoda tych ludzi, taka dobra kompania.

-Wiem, wiem... Ale trzeba żyć i walczyć !

- Racja...

Sierżant, a teraz komendant Właśniak, był starym znajomym Misia. Razem służyli w kompanii i razem walczyli, aż do oblawy w lesie. Misio w sumie dziękował Bogu, że trafił akurat na Właśniaka. Siedział teraz razem z nim i z jego żołnierzami przy ognisku, niektórzy smażyli jakieś mięso, chleb. On palił papierosy i myślał o Oli, o tym, że ją stracił, o tym, że go boli zebro. Nagle poderwał się jak oparzony...

- Noż kurwa mać ! - wykrzyknął.

- Co się stało, panie kapitanie? - zapytał Właśniak.

- Jaaa pierdole !

- No co się stało !?

- Mój pistolet... MÓJ LUGER ! Zabrali mi go... Już nie żyjecie, frajerzy - krzyczał Misio i szukał na pasku swojego... Lugera.

- Przecież to tylko pistolet... Znajdziemy nowy... - uspokajał go sierżant.

-To była pamiątka rodzinna... A w sumie... A chuj z tym, znajdziemy nowy - mówił siadając Misio. Wyciągnął papierosa z pomiętej paczki i odpalił.

-Wiecie co mnie martwi Właśniak? - zapytał.

- Co?

- Była ze mną pewna dziewczyna. Nie jechała tam gdzieś w tym

transporcie?

- Hmm... Raczej nie...
- Jesteś pewien? Na 100 procent?
- Na 100 procent. Byłaby tu przecież teraz z nami. A trupa sam pan przecież szukał.
- No fakt... Kurwa... Mam prośbę sierżancie, mogę wam potowarzyszyć troszkę?
- W sumie to myśleliśmy, że mógłby pan kapitan przejąć dowództwo. Chłopaki słyszeli o naszych wyczynach, a ja potem opowiadałem im o panu.
- Ech... Ale ja chcę iść do Musztardowa... Gdzie my teraz jesteśmy?
- Kilkanaście kilometrów na północ od Czekan - powiedział z uśmiechem Właśniak.
- To i tak niedobrze... Musztardów jest na południu, trzeba będzie iść lasami...
- Nie ma problemu, pójdziemy za panem. Chłopaki się aż rwą do walki. Aha, no i mamy tu prezent dla pana, panie kapitanie. Taka rekompensata za tego straconego Lugera.
- Co to?
- To jest pistolet maszynowy Thompsona. Geniusze z Cracofii robili rzuty. Pewnej nocy nadleciał bombowiec i zrzucił kilka skrzynek. Zleciał jeden peem i kilka skrzynek amunicji do niego. Bez sensu kompletnie...
- To czemu żaden z was go nie chciał?
- No bo ja mam swoją strzelbę, a pozostali też swoje ulubione karabiny. Poza tym poszła fama, że on niby pecha przynosi. No to nikt go nie wziął.
- Pokaż no go - zakomenderował Misio. Dwóch wojaków przyniosło skrzynkę i otworzyło wieko. Misio ceremonialnie odgarnął słomę. W skrzynce leżało zawiniątko, obwinięte starannie papierem parafinowym. Misio powoli wyciągnął je, zdarł bez skrpułów papier. Jego oczom ukazał się pistolet maszynowy, popularny Tommygun. Wziął go do ręki i zaczął celować.
- No no... Całkiem konkretny, nie mogę to powiedzieć. Się nada. Teraz broń gangsterów będzie zaprowadzała prawo...
- Może zrobi pan kapitan przegląd oddziału? - zapytał z podejrzliwym uśmiechem sierżant Właśniak.
- Może być... poruczniku. Niech będzie w sumie.
- ZBIÓÓÓRKAAA ! - komenda padła. Oddział szybko ustawił się w dwuszereg. Misio ze swoją nową zabawką i papierosem w ustach powoli przechadzał się przed żołnierzami.
- Panowie, mamy zadanie do wykonania ! Kilkanaście kilometrów na południe od Czekan jest wieś Musztardów ! Pochodzę z niej i chętnie sprawdzę czy stoi cała ! Poza tym, może to być pierwsza przystań do większego celiu - zdobycia Czekan ! Tak tak panowie, nie przesłyszeliście się ! Wróg wcale nie jest taki trudny do pokonania, co udowodniliście dzisiaj i wcześniej. Nawet na czołgi znajdzie się sposób ! Ale do tego potrzeba wiary w zwycięstwo ! Dlatego,

przygotujcie się dzisiaj, zróbcie zapasy bo jutro ruszamy ! Czekają nas ciężka przeprawa przez las ! Możliwe, że napotkamy przeciwnika i że będziemy z nim walczyć ! Ale zmieciemy go z powierzchni ziemi ! Słyszałem, że wiele wsi w pobliżu kolaboruje z okupantem. Pokażmy im,

że to jest Sarmacja i że to Sarmaci są tu panami i że to oni stanowią prawo i porządek ! Winnych trzeba ukarać, a wsie które zaznały scholandzkiego buta staną się wolne ! Dobra sukinsyny, rozejść się !

—

Tak jest panie kapitanie !
Jądro w ciemności vol. 9 - "Twarzą do ściany"

Misio obudził się nagle. Rozejrzał się powoli po okolicy. Tak, to był ten las w którym zasypiał. Złapał się za głowę. Nienawidził nagłego wstawania rano. Pierwsza myśl - papieros ! Druga - Luger ! Ale jego już nie było, teraz miał tommyguna. Ale przecież nie może walczyć bez pistoletu. Wstał powoli, założył kurtkę i poszedł szukać porucznika Właśniaka. Ten spał jeszcze smacznie, tak jak reszta oddziału, nie wyłączając wartowników. Ci pozdrowili Misia i dalej obserwowali teren. Misio, szturchając Właśniaka za kurtkę, obudził go niezbyt delikatnie. Ten przywitał go po przyjacielsku.

- Pojeba... O dzień dobry panie kapitanie.
- Właśniak... Mam problem, potrzebuje pistoletu.
- Ech... O 5 rano? Niedobrze z panem kapitanem coś ostatnio...
- Nie pierdol tylko daj mi kławkę.
- Tam gdzieś przy skrzyniach leży colt... Dobranoc...

Oddział był gotowy do drogi już o 6 rano. Spakowani, najedzeni i ogoleni ruszyli powoli przez las w stronę Musztardowa. Misio podzielił swoją kompanię na 3 kolumny, każda szła równolegle do siebie, w rozstępach 400 metrowych. Las nie był gęsty także szli sprawnie. Na przód pochodu Misio wysłał czujki, które miały sprawdzać, czy nie ma tam gdzieś wroga. Szli może tak ze 6 godzin, kiedy straż przednia poinformowała dowódcę, że dotarli do wsi. Misio nie wiedział, czy jest to wieś proscholandzka, czy prosarmacka. Wymyślił więc oryginalny podstęp...

Misio jechał powoli na rowerze z papierosem w ustach. Nie miał przy sobie broni, bo i po co? Nie chciał aby go zdemaskowano. Dodatkowo nie miał swojego munduru, więc wyglądał jak prosty wieśniak. Jechał powoli drogą do wsi, nucąc sobie coś tam pod nosem i paląc fajkę. Zbliżając się, mijał jakieś wozy z sianem, z gnojem i z ziemniakami. Czuł wieś, wskazał urodził się niedaleko. Nie obawiał się rozpoznania, przecież nikt spoza oddziału nie znał jego twarzy, a Ci co znali prawdopodobnie zgineli albo nie wiedzieli, że to on jest Misiem. Tym Misiem. Tak więc jechał nie uzbrojony, na rowerze, przebrany za wieśniaka do obcej wsi. Numer z rowerem był raczej jednorazowy, zwłaszcza w przypadku jeśli okazałoby się, że jest na wrogim terenie. Atak na wieś proscholandzką był nieunikniony - taka była taktyka Misia. Ale nie chciał zabijać wieśniaków - byli to w końcu jego rodacy. Ludzie zapamiętaliby, że przed atakiem we wsi pojawił się nieznany, samotny rowerzysta. Śmiertelność wśród nieznanymi, samotnych rowerzystów wzrosłaby nagle, zwłaszcza na tym terenie. A dużo z tych nieznanymi, samotnych

rowerzystów było przecież ważnymi kurierami...

Misio powoli wtoczył się do wsi. Zatrzymał się gdzieś na środku, zsiadł z roweru i zapalił kolejnego papierosa. Rozejrzał się dookoła spokojnie

i bacznie oglądał całe zamieszanie. Jego wzrok zatrzymał się na pewnym grubasie. Widać było, że to sołtys. Dlatego Misio, z niezbyt ukrywaną ciekawością przyglądał się owemu grubasowi. Chciał zwrócić jego uwagę, żeby podszedł do niego. Wybadałby wtedy czy wieś jest prosarmacka, czy nie.

- Ej ty tam, na rowerze ! Cho no tu ! - zakrzyknął sołtys.

- Kto? Ja?

-Tak ty, podjedź no tu do mnie. Nie jesteś stąd, rozpoznałbym Cię od razu.

- No fakt, bystre oko - zażartował Misio. Jednak szybko skończył się śmiać, bo był to śmiech jednostronny - Jestem tu przejazdem. Jadę właśnie z Krezu do pewnej wsi koło Czekan.

-Aha. To zmykajcie stąd prędko, bo my tu nie lubimy obcych. Zapytam tak po przyjacielsku...

-Taaak?

- Jesteś za królem scholandzkim, czy za tym sarmackim satrapą?

- Jaa? A od czego to zależy?

- Bo widzisz, my tutaj jesteśmy za Scholandią i nie chciałbym żeby przytrafiła Ci się krzywda.

-Aha, rozumiem.

-Tak więc zmykaj stąd raczej, dobra?

- Ma się rozumieć. Niech będzie pochwalony !

- Niech będzie, niech będzie...

Poszło mu łatwo, zbyt łatwo. Ale, przecież oddział jego nie działał jeszcze w tej okolicy, także tutaj sił scholandzkich nie było. Z resztą, wojsko siedziało w Czekanach, do jakichś incydentów w okolicy po prostu wyjeżdżało. Także dla Misia była to akcja typu "wchodzimy, palimy, spadamy". Odjechał paraset metrów od wsi, po czym upewnił się, że nikt go nie obserwuje i skręcił do lasu. Tam, po godzinie, odnalazł swój oddział. Wyjaśnił na czym polega sytuacja, że zaatakują w nocy, że podpalą wieś i pójdą dalej na południe. Mówił, żeby nie zabijali wieśniaków bez powodu, bo to przecież ich rodacy. Obawiał się, żeby mieszkańcy nie zorganizowali się w jakąś milicję samoobrony, nie chciał ofiar wśród ludności cywilnej. Wiedział jednak, że miejscowości kolaborujące z okupantem miały lepiej, najczęściej kosztem tych wsi które pozostały lojalne. Dlatego trzymał się tego, to było jego jedyne moralne usprawiedliwienie dla tego ataku i dla potencjalnych ofiar.

Podeszli w nocy, po cichu. Misio rozdzielił oddział na 3 plutony.

Jeden miał w małych grupkach przeskoczyć przez drogę i zaatakować, na wyznaczony znak, od drugiej strony. Pozostałe dwa plutony miały uderzyć od północy. Wieś otoczona była lasem, pola znajdowały się poza nim. Zanim Misio rozkazał 3 plutonowi przeskoczyć drogę, lornetką zlustrował wieś. Niestety, ku jego niezadowoleniu, wieś miała milicję. Widać było ludzi z latarkami którzy, prawdopodobnie z bronią, patrolowali między domami. Najbliżej nich znajdował się facet w berecie, ze strzelbą myśliwską. Misio po cichu wydawał rozkazy.

- Muniak, chodź no tu - szeptem przywołał kompanijnego snajpera.
- Tak panie kapitanie?
- Widzisz tam tego o, tego w tym berecie?
- Tak, widzę panie kapitanie.

- Słuchaj, przejdź no ze 100 metrów w prawo, będziesz go widział. Zastrzel go, ale zrób to głośno, żeby te wieśniaki myślały, że stamtąd zaatakujemy. Po oddaniu strzału wróc do nas prędko, ale staraj się robić niezbyt wiele hałasu. Dla kurażu możesz tam granat rzucić, ale wracaj w miarę po cichu. I załatw go jednym strzałem, zrozumiano?

-Tak jest, panie kapitanie - odszepnął Muniek i poszedł w wyznaczone miejsce.

- Na stanowiska ! Niech 3 pluton forsuje drogę ! Uwaga ! - wydawał rozkazy Misio. Padł strzał, wieśniak w berecie również. Po kilku sekundach wybuchł granat. Po kilkunastu Muniek wrócił. Misio wziął swoją lornetkę i obejrzał sytuację na dole. Jego podstęp zadziałał, bo milicja biegła do lasu. Nie cała co prawda, ale spora część.

- Dobra panowie, do ataku. Uważajcie na prawe skrzydło, bo tam są przecież te wieśniaki. Róbcie to po cichu, ambaras możecie zaprowadzić dopiero we wsi. Nu, pajechali !

Zbiegali po cichu. 3 pluton był już na drugiej stronie, o czym poinformowała Misia czerwona raca. Pluton ten miał atakować na sygnał zielonej racy. Misio, dzierżąc swojego tommyguna, przewodził atakowi drugiego plutonu. Wybrał ten, żeby zobaczyć co zrobią ci milicjanci wyprowadzeni do lasu. Zbiegli już do wsi. Misio dostał się między dwa domki, gdzie zobaczył faceta ze strzelbą. On z resztą Misia też. Nie było czasu na reakcję, padły pierwsze strzały. Misio szybką serią, w biegu powalił wieśniaka, przygotował sobie też granat. Nie wiedząc co jest na centralnym placu, wybiegł na niego, ziejąc ogniem ze swojego pistoletu maszynowego. Nie było cywili, sami milicjanci. Jakby to była oblawa wieśniaków na Misia. Ha, amatorzy... Sami autochtoni strzelali często, ale niezbyt celnie. Misio przeładował swój pistolet, rzucił granat i biegł dalej. Wtedy poleciała zielona raca i z lewej strony wybiegli kolejni żołnierze Misia. Chciał odciąć tych wieśniaków w lesie, dlatego zależało mu na prędkości. Po kilku minutach wieś była oczyszczona i 2 pluton zajął pozycję u wylotu lasu. Pierwsi milicjanci pojawili się w minutę później. Nie mieli wiele do powiedzenia, ponieważ padali martwi, szybko i gęsto. Cała akcja nie trwała dłużej niż 10 minut.

Kiedy ucichły strzały, ci mieszkańcy co nie walczyli, wyszli na plac. Ale Misia już nie było. Na środku leżał tylko pluszowy miś - nowy znak firmowy oddziału. Cała banda "Misiosbanditen" była już w lesie. Misio chciał tylko jeszcze ściągnąć tego grubasa, sołtysa. Słusznie podejrzewał, że on nie uczestniczył w walce. Wziął od Muńka jego karabin snajperski. Odszukał na placu sołtysa. Był, stał otoczony starcami, kobietami i dziećmi. Jeden strzał w głowę zakończył jego karierę. Poleciały też koktajle mołotowa. Wieś stanęła w płomieniach ku przestrodze dla innych wsi kolaborujących z okupantem. Tak to przynajmniej tłumaczył sobie Misio.

Ruszyli dalej na południe, w stronę Musztardowa...

Jądro w ciemności vol. 10 - "Dziewczyna z długimi oczyma"

Misio usiłował ustalić, jak długo walczy już z okupantem. W czasie kiedy obozowali kilkanaście kilometrów od Musztardowa, Misio odszedł od oddziału. Chciał być sam, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Znalazł jakiś konar, usiadł na nim, wyciągnął papierosa i zaczął rozmyślać. Był teraz początek marca 1944 roku...

Wojna rozpoczęła się w kwietniu 1940 roku. Walki były zacięte, ale niestety Sarmaci wycofywali się na całej linii. 11 maja 1940 roku był jak cios w serce dla Misia. Dowódca jego dywizji chciał walczyć dalej. I dowódca korpusu również - nie poddali się. Walkę toczyli do połowy czerwca 1940 roku, dosłownie do ostatniego naboju. Potem oddział rozwiązano, dowódcy korpusu, dywizji, brygad, pułków i batalionów poszli do obozów jenieckich. Resztę zwolniono. Misio, bez pracy i bez domu nie wiedział co ze sobą zrobić. Pojechał do Krezu i pracował tam jako barman. W byłej stolicy Gellonii mieszkał prawie dwa lata, jednak w maju 1942 roku, został wysiedlony ze swojego mieszkania w kamienicy, która to miałaby być wyburzona, a w jej miejscu postawiono basen dla nowych władców tych ziem. W Misiu coś pękło, miał dosyć ciągłego poniżania, deptania i tłamszenia. W lipcu 1942 roku rozpoczął formowanie oddziału partyzanckiego z żołnierzy byłej kompanii. Na początku 1943 roku wszystko było gotowe... Walczyli w tym składzie prawie cały rok...

Teraz było inaczej. Wróg był w odwrocie. Misio chciał najpierw zająć Musztardów, a potem jeżeli warunki będą sprzyjać, zdobyć Czekany. Ale nie chodziło mu tu o walny szturm na miejscowość, a mozolne uszczuplanie potencjału wroga, a potem nagłym uderzeniem zająć wieś. Słowo wieś było w tym przypadku trochę na wyrost, bo Czekany były wielkości miasteczka. Ale cel pierwszy - Musztardów - musiał być zdobyty za wszelką cenę. Misio obawiał się, że wróg może przeprowadzić stamtąd kontruderzenie. Nie liczył się z możliwością pomocy wojska z Czekan. Dlaczego? Musztardów nie był w gruncie rzeczy miejscowością strategiczną, Czekany zaś tak.

Tymczasem w sztabie Sarmackiej Armii Ludowej, dużego, komunistycznego ugrupowania partyzanckiego, opracowywano plan zajęcia Czekan. Czerwoni żołnierze musieli jednak najpierw rozpoznać teren, czy nie ma tam konkurencyjnych oddziałów "leśnych ludzi".

-Towarzysze, nasz cel to Czekany. Podobno w okolicy działa jakaś dobrze zorganizowana grupa partyzancka, która dała przykłady swojej siły kilka razy. Z przechwyconych scholandzkich raportów wiemy, że dowodzi nimi osoba o dużym doświadczeniu wojskowym. Jego pseudonim to "Misio". Nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska, jego twarzy ani też tego jakie są jego przekonania polityczne. Dlatego pierwszym celem naszej operacji będzie zbadanie, czy ten "Misio" jest groźny i czy nie dałoby się go wykorzystać przy szturmie Czekan. Czy nasza siatka

wywiadowcza ma może o nim jakieś informacje?

- Nie wiemy obywatelu podpułkowniku, ale zaraz to sprawdzimy.

Zawołajcie no towarzyszkę "Katarzynę"!

Po pewnym czasie do namiotu weszła podporucznik "Katarzyna". Była ona SAL-owska oficer wywiadu, jeżeli można było mówić o jakimkolwiek wywiadzie. Podobno miała jakieś doświadczenie, była stosunkowo nowym nabytkiem SAL. Jej poprzedniczka udławiła się niedogotowanym ziemniakiem z obozowej kuchni.

- Słucham obywatelu podpułkowniku?! - zapytała wyprostowana na baczność pani podporucznik.

- Spocznijcie towarzyszko... - odpowiedział spokojnie tow. Wanda - Mamy zadanie dla wywiadu. Macie dowiedzieć się kim jest niejaki "Misio".

- "Misio"?! - na twarzy "Katarzyny" pojawiło się wyraźne zakłopotanie - Ten "Misio" z okolic Athos?

-Aaa... Coś o nim słyszałem chyba... A wiecie może coś o nim więcej? Jakie ma przekonania polityczne? Bo widzicie, jego oddział grasuje tu gdzieś w okolicach i nie chcemy mieć z nim nieprzyjemności.

- "Misio"... Nie nie, on jest politycznie neutralny, czyli niegroźny... Przynajmniej kiedyś był...

- Dobra, już coś wiemy i tego się trzymajmy. Musimy go dostarczyć na rozmowę ! - zakomenderował tow. Wanda...

Misio był zaskoczony propozycją rozmów. Nie znał żadnego SAL-u, ani towarzyszy Wandy, Żenady czy Krystyny. W sumie zwisali mu nisko, ale... Ale mieli jeden atut... Mógł kosztem ich żołnierzy osiągnąć cel jakim były Czekany. Dlatego, po chwili namysłu i konsultacji z porucznikiem Właśniakiem, zdecydował się na przyjęcie oferty złożonej mu przez dowództwo SAL, a przyniesionej przez łącznika przebranego za krzaka ze srającym przy nim lisem. Misio pojechał rowerem, wraz z porucznikiem Właśniakiem i jednym z sierżantów do głównego namiotu SAL. Tam miał poraz pierwszy (i nie ostatni) spotkać z dowództwem Sarmackiej Armii Ludowej.

Weszli spokojnie, we trzech, z gracją i dostojnością sarmackich żołnierzy, mimo iż nie wyglądali na takich. Mundury kiedyś były sarmackie, ale teraz trochę wypłowiały i otrzymały swoją własną, niepowtarzalną barwę. Mieli też hełmy, pasy z wyposażeniem, oraz buty które również pochodziły z sarmackiej armii. Tylko broń była zdobyczna, poza Misia. On miał przecież swojego tommyguna. I to właśnie ów pistolet maszynowy zrobił największe wrażenie na komendantach SAL. Generalnie, Ci trzej faceci z lasu wyglądali inaczej niż sobie to towarzysze wyobrażali. Pierwszy do nich wystąpił tow. Krystyna.

- Witajcie towarzysze, jestem major "Krystyna" - przywitał ich wyciągając dłoń na dzień dobry do Misia. Ten odsalutował mu.

- Kapitan "Misio", prawdziwego imienia nie podaje z oczywistych względów. To jest poruczniki Właśniak, moja prawa ręka, a to sierżant Mnożnik.

-Witajcie towarzysze... - odpowiedział ppłk Wanda - Rozumiem, że wiecie już jakie plany mamy?

-Tak tak, mniej więcej. Chcielibyśmy jednak zerknąć na nie bardziej dokładnie, jeśli można oczywiście - Misio nie chciał krwawych jatek, jakie znał z Chin, czy z walk w ZSRR. Czytał dużo o Wojnie Domowej w

Rosji i o kampanii japońskiej w Chinach.

- Oczywiście. O to nasz plan. Zakłada on atak frontalny na Musztardów i potem szybki, oskrzydający atak od południa, prawym brzegiem Narwi na Czekany.

- Tak spytam panowie, czy któryś z was miał praktykę w armii? - spytał towarzyszy Misio.

- Nie. Jesteśmy taktycznymi samoukami.

- No widzicie panowie, bo ja miałem. Moje wątpliwości co do planu są takie, że Musztardów jest może i niezbyt licznie broniony, ale jeżeli obrońcy się dobrze okopią i wykażą odrobinę determinacji to czeka nas tam krwawa łaźnia. Co do samego ataku na Czekany - sugerowałbym przeprowdzić się przez rzekę i zaatakować z dwóch stron jednocześnie, a tak aby odciąć Czekany całkowicie, a nie tylko w 75%. To takie moje propozycje. I ja osobiście proponowałbym atak w nocy.

- Hmm... Widać towarzysz nie docenia naszych sił.

- Nie, tego nie powiedziałem. Ale uważam ten plan za cokolwiek amatorski. Zwłaszcza samą fazę szturm na Musztardów. Nie poślę na niego moich chłopaków bo to pewna śmierć. Dlatego, odmawiam użycia moich sił do wykonania tego planu. Sam chętnie pójde zobaczyć jak walczyacie, ale w ramach obserwatora.

- No nie wiem, towarzyszu, nie wiem... - tow. Żenada miał wątpliwości.

- To może tak zrobimy ! - zaproponował tow. Krystyna - My zaatakujemy wg. naszego planu, a jak się nie uda zdobyć Musztardowa, to zrobicie to wg. własnego, ale sami. Co towarzysz na takie rozwiązanie?

- Dobra, umowa stoi. Tak więc do roboty.

Następnego ranka, w dniu szturm na Musztardów, Misio wstał wcześniej.

Przeprowadził swój rytuał który robił przed każdą ważną bitwą. Otóż ogolił się, zjadł treściwe śniadanie i nie zapalił papierosa. Czemu odmówił sobie fajki? Uważał, że po wygranych starciu smakuje wtedy lepiej. Powiedział swoim żołnierzom, żeby szykowali się na nocną walkę, przekazał na wszelki wypadek porucznikowi Właśniakowi plan ataku na wieś. On miał dowodzić natarciem gdyby Misiowi coś się stało.

Wypił jeszcze drugą kawę i poszedł do obozu SAL. Tam został przydzielony do jednego z plutonów szturmowych. Miał on iść w drugiej fazie ataku. Bitwę rozpoczął ostrzał z kilku dział i moździerzy. Misio był nimi zafascynowany i ubolewał, że jego oddział nie ma takiego wsparcia na wyłączność. Ale takie były niedogodności walki partyzanckiej,

zwłaszcza jeśli używało się tylko małej kompanii i nie miało do dyspozycji tylu ludzi co SAL. Po kilku minutach plutony ruszyły na wyznaczone pozycje do ataku. I ruszyli ! Misio wystawił swoją głowę zza okopu i widział jak pierwsi żołnierze Sarmackiej Armii Ludowej giną od celnego i dobrze mierzonego ognia maszynowego przeciwnika. Powietrze było kurzu i dymu prochowego. Nadszedł teraz czas na Misia.

Miał on poważne wątpliwości co do tego, czy przeżyje ten szturm. Zaraz

po wyjściu z okopu zginął dowódca jego plutonu, a że jego następcą, młody chłopak z pod Morwieńca nie czuł się zbyt pewnie, Misio przejął dowodzenie plutonem. Postanowił zejść z drogi i przejść kawałek

rosnącym obok lasem, żeby mieć choć trochę osłony. Szybko przeskoczyli do sosnowego zagajnika i ruszyli powoli do przodu, niezbyt często ostrzeliwani.

Widocznie cała furia scholandzkich obrońców skupiła się na żołnierzach atakujących w otwartym terenie. Po przejściu kilkuset metrów, byli już za pierwszymi liniami okopów wroga i mogli na nich uderzyć od boku.

Misio kazał załadować podległym mu SALowcom nowe magazynki i przygotować granaty, po czym zaczęli powoli schodzić ku wsi, starając się żeby wróg ich nie zauważył. Przeciskali się pomiędzy rosnącymi tam rzędami winorośli. Zeszli na skraj winnicy i tam otworzyli swój morderczy ogień. Strzelali wzdłuż okopów i rzucali granatami. Pozwoliło to przygwożdżonym na przeciwko plutonom podnieść się i spróbować podejść kilka metrów, żeby przełamać linie wroga. Misio postanowił uderzyć na pierwszy z brzegu dom. Żołnierze podbiegli do niego i wrzucili do środka kilka granatów. Dwóch czy trzech scholandzkich żołnierzy chciało uciec ze środka, ale wychodząc zgineli od serii karabinowych. Chłopcy z SAL weszli do budynku. Jak się później okazało, dom ten był pod dobrze mierzonym ogniem dwóch cekaemów, które znajdowały się w kościele. Misio musiał się wycofać. Cały atak się nie powiódł, odwrót był na całej linii.

Po powrocie z pola walki okazało się, że pluton dowodzony przez Misia zadał przeciwnikowi największe straty i najgłębiej wgrzył się w obronę przeciwnika. Jednak wobec beznadziejnej sytuacji na pozostałych odcinkach, musieli się wycofać. Misio powiedział później dowództwu SAL, że od razu zrezygnował z ataku otwartym terenem i przekradł się lasem. Przekazał też swoje wątpliwości co do poziomu wyszkolenia dowódców plutonów i ich zastępców. Towarzysze z SAL przyjęli to do wiadomości i poczęstowali Misia papierosem.

Misio wrócił do swojego oddziału spocony i wyczerpany. A czekała go dzisiaj jeszcze jedna walka. Z miejsca gdzie obozowali było widać wieżę kościoła. Misio rozkazał snajperom spróbować ściągnąć cekaemistów, którzy tak celnie kładli ogień na ulice i przedpole wsi. Poprosił też aby SAL położył ogień na kościele i na dworze. Dobrze znał swoją wieś i wiedział jak będą atakować. Miał też jako takie rozeznanie co do pozycji przeciwnika. Musiał się jednak przed atakiem wyspać, co też uczynił...

Sam szturm na Musztardów, "Misiosbanditen" przeprowadzili dość sprawnie i z gracją. Misio zastosował trik z przerzuceniem jednego plutonu na drugą stronę wsi i atak obustronny. Tym razem było nieco trudniej, bo i obrońcy byli dobrze wyszkoleni. Po kilkunastu minutach gwałtownych walk było już po wszystkim. Obrońcy Musztardowa też ponieśli pewne straty podczas porannego szturmu SALu i nie bronili się już tak mocno jak rano. Misio zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Podpuścił towarzyszy na poprzedniej naradzie, aby właśnie tak potoczyła się cała bitwa. Chciał, aby duża część obrońców scholandzkich wykrwawiła się podczas pierwszego szturmu, wtedy jego żołnierze mieliby łatwiejsze zadanie do wykonania i chwała zdobywców Musztardowa spłynęłaby właśnie na nich. Podniosłoby to też pozycję Misia wobec dowódców SAL. Sumienie jednak bardzo go gnębiło - szkoda mu było tych młodych chłopaków, którzy zgineli dziś rano...

Jądro w ciemności vol.11 - "Kronika niezapowiedzianego numerku"

Misio i jego żołnierze szykowali się już do ostatecznego szturmu na Czekany. Czyszczono broń, uzupełniano zaopatrzenie, pisano listy do rodzin, mimo iż nie mogły być one wysłane, każdy starał się coś zrobić, byle tylko nie myśleć o samej walce. Misio postanowił pisać dziennik, w którym opisywał całe to zamieszanie. Chodził też od żołnierza do żołnierza, pytał o morale i samopoczucie. Odwiedzał też rannych, pytał

o ich stan zdrowia. Za każdym razem otrzymywał odpowiedź: "Doskonale, panie kapitanie!" Morale w oddziale było wysokie i Misio zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że służył razem z zawodowcami i osobami oddanymi całkowicie walce o słuszną ideę - o wolną Sarmację. Plan szturmu na Czekany był zmodyfikowaną przez Misia propozycją ataku, opracowaną przez sztab SAL. Zakładał on, że jeden z batalionów przeprawi się na drugi brzeg Narwi i cała operacja będzie się odbywać po obu stronach rzeki. Główny impet natarcia miał iść od strony Musztardowa, czyli od południa. Tutaj Misio opracował dość ciekawy fortel. Rozpoznanie wykazało, że teren na południe od Czekan jest jedynym miejscem, gdzie można odpowiednio rozwinąć natarcie. Tutaj też Scholandczycy wykopali najwięcej okopów. Była to potrójna linia umocnień ziemnych, z gniazdami cekaemów i zamaskowanymi pozycjami dział. Z przechwyconych raportów wroga, Misio wiedział kto dowodzi obroną Czekan. Miał okazję poznać tego człowieka podczas praktyk w Szkolinie. Pił z nim wódkę - od tamtego czasu nie pije już alkoholu. Dostatecznie wyrobił sobie zdanie o owym oficerze i wiedział jaki on jest. Dlatego opracował sprytny plan. Dwa bataliony piechoty miały o świcie gwałtownie zaatakować pierwszą linię umocnień. Tutaj powodzenie ataku zależało przede wszystkim od szybkości i impetu ataku. Te dwa bataliony musiały za wszelką cenę zająć te wysunięte okopy. Misio zakładał, że Scholandczycy będą próbować kontratakować. Ich pozycje obronne w gruncie rzeczy nie były zbyt głębokie, więc nie mogli ryzykować utraty choćby metra okopów. I tutaj Misio wymyślił podstęp owe bataliony, które miały uderzać na pierwszą linię umocnień, miały upozorować odwrót, aż do wysuniętych pozycji własnych wojsk. Liczył na to, że scholandcy obrońcy zaryzykują kontratak. Wtedy to, z ich prawej flanki, z zalesionego terenu miały uderzyć dwa bataliony, których zadaniem było okrążenie kontratakujących wojsk obrońców i odcięcie ich od reszty wsi. Oddziały, które "wycofywały się" wzmocnione teraz o koljane dwa bataliony, miały nagle uderzyć od południa. Tak wzięci w kleszcze obrońcy mieli zostać wystrzelani. Równocześnie, wraz z owym fortem, jeden z batalionów miał uderzyć na sąsiednim brzegu rzeki i zająć go, a kolejny miał od północnego zachodu uderzyć na samą wieś. Cały plan był śmiały i dość ryzykowny. Jego powodzenie zależało od synchronizacji natarć i od tego, czy Scholandczykom będzie chciało się kontratakować. Jeżeli kontratak nie nastąpiłby, wykonanoby plan B, czyli próbę szturmu na wieś z kilku stron. Kompania Misia miała osłaniać prawą flankę batalionów odcinających obrońcom w okopach drogę do wsi. Jej zadaniem była ochrona przed możliwymi kontratakami z samych Czekan.

Pod wieczór, dzień przed atakiem, kapitan Misio i porucznik Właśniak siedzieli w okopie, w punkcie obserwacyjnym i lornetkami obserwowali wieś Czekany.

- Jak myślicie Właśniak, powiedzie się nasz plan?
- Jest ambitny ale realny. Myślę, że nam się uda. Nie wiem, czy pan kapitan zauważył, ale pałac wydaje się nie obsadzony...
- Taaak, wiem... Pewno stary Czekański załatwił sobie kwit, żeby żołnierze nie zajmowali pałacu... Właśnie Krzyśku... Jak jesteśmy sami to mów mi Misio... Ale nigdy przy żołnierzach - wiadomo, powaga stopnia...
- Dobrze... Misiu... Śmieszne to trochę - roześmiał się Właśniak.
- Wiem, ale co zrobić? Taką mam ksywkę, nie poradzę na to... - z uśmiechem na twarzy odpowiedział mu Misio i zapalił papierosa - Cóż, nie zmienia to faktu, że jutro mamy ciężki dzień...
- Taak... Chodźmy spać, lepiej być świeżym z rana...
- Dobry pomysł.

Plan może i był Misia, ale Misio całą operacją nie dowodził. Robił to tow. Żenada, oddelegowany ze sztabu SAL. Przybył tylko on, jako iż Sarmacka Armia Ludowa nacierała już na innym odcinku frontu. Misio dowodził tylko swoją kompanią. "Misiosbanditen" zajęli swoje pozycje wypadowe około godziny 5 nad ranem. Pomalowani w barwy ochronne, skupieni i z bronią w rękę wyglądali dość malowniczo. Mieli czekać na zieloną racę, sygnał do szybkiego ataku na wieś. Misio nie obserwował co działo się na polu bitwy, wołał się nie denerwować. Spokojnie czekał na zieloną racę i obserwował teren, szukając jak najlepszej drogi do ataku. Gdyby plan z fortelem się nie udał, wystrzelonoby wtedy czerwoną racę i miał się rozpocząć zwykły szturm na wieś. Misio i tak atakowałby wtedy tą samą trasą. O godzinie 4.55 rozpoczął się silny ostrzał artyleryjski scholandzkich pozycji obronnych. Miał potrwać dokładnie 15 minut, po nim od razu miał rozpocząć się szybki atak na pierwszą linię okopów. Misio sprawdzał to z zegarkiem w rękę. Był pod wrażeniem, gdy co do sekundy, po kwadransie ostrzał ucichł. Rozpoczynające się natarcie Misio rozpoznał po wzmożonym ostrzale z broni maszynowej i wybuchach granatów. Ci żołnierze mieli maksymalnie godzinę na zdobycie okopów i rozpoczęcie pozorowanego odwrotu. Kontruderzenie wroga miało być oznajmione graniem trąbki - taka ciekawa odmiana na dzisiejszym polu walki. Chłopaki z pierwszego rzutu uwinęli się w 30 minut, po czym, po 5 minutach, trąbka zaczęła grać. Misio wypatrywał teraz na niebie zielonej racy. Po 10 minutach zielony punkcik ukazał się oczom gotowych do walki żołnierzy. Była godzina

5.55 gdy ruszali do ataku.

Misio ze swoim tommygunem w rękach biegł na czele kompanii. Moździerze wcześniej postawiły zasłonę dymną, dlatego dookoła pokazała się biała mgła. Misio mógł jednak zobaczyć, jak cienie żołnierzy SALu również biegną w stronę linii wroga. Natomiast jego wojacy byli o krok za nim. Misio postanowił uderzyć pomiędzy dwoma domami, potem przez trawnik pałacowy aż do budynku zajazdu. Biegli zatem co sił w nogach. Misio, sapiąc ciężko, wpadł do pierwszego z domów. Zdążył tylko kątem oka zobaczyć scholandzkiego żołnierza. Szybko odwrócił się i powalił go na nogi szybką serią z karabinu. Od razu kilku innych, którzy zapewne byli w tym budynku, chciało postać Misia do krainy wiecznych łowów. Ale ten,

jako i nie był w ciemę bity, uciekł co sił w nogach do pokoju obok.
Tam wbiegając zastrzelił jednego wrogiego frajtra i biegł dalej.

Dotarł do schodów które prowadziły na górę. Słyszał już, że inni żołnierze biegną za nim. Poczekał chwilę aby zobaczyć, czy jakiś scholandzki żołnierz nie ma zamiaru zejść na dół. Nie musiał długo czekać, jego ofiara nawet nie zdążyła zobaczyć Misia, gdy ten strzelił jej serie po nogach, a gdy upadała wpakował jej jeszcze kilka ołowianych kulek w kręgosłup i w głowę. Misio ostrożnie zaczął wchodzić po schodach. Były to klatka schodowa, w której pierwszy ciąg schodów kończył się jakby platformą, na której schody zakręcały o 180 stopni i biegły dalej, do góry. Misio wspinał się z karabinem w jednej i z granatem w drugiej ręce. Gdy był na owej platformie, zauważył kilku Scholandczyków na pierwszym piętrze. Nie było czasu na reakcję, od razu rzucił granat i padł na schody. Trzech zginęło natychmiast, jednak dwóch nadal wykazywało chęć walki. Tutaj Misio musiał użyć drugiego granatu. To podziślało, dziwił się też, czemu jego przeciwnicy sami nie użyli takiej samej broni co Misio. Mogliby go wtedy łatwo i szybko wyeliminować. No ale nie było czasu na rozmyślanie.

- Dawać tu ceakemy ! Szybko ! - wydał rozkaz Misio. Domy te miały dobry widok na teren dalszego natarcia. W budynku obok walka była nie mniej zacięta, ale i tam żołnierze Misia dali sobie radę. Należało uderzać dalej.

Poraz kolejny Misio prowadził swoją kompanię. Kiedy część żołnierzy wyszła już z budynków, podzielił ich na 3 plutony. Zależało mu na prędkości, musieli szybko dotrzeć do zajazdu. Tam jego żołnierze znaleźliby osłonę przed ogniem wroga, dodatkowo mieli przecież też wsparcie w postaci batalionu SAL atakującego wzdłuż drogi. Ruszyli co sił w nogach. Siali śmierć i zniszczenie w szeregach wroga. Okazało się, że na trawniku przed pałacem wykopano okopy, jednak sam pałac był nieobsadzony. Na widok wściekłych biegnących żołnierzy Misia, kilkunastu scholandzkich żołnierzy próbowało uciekać. Ginęli jednak oni szybko od karabinowych kul. Misio dobiegał już do pierwszych okopów. Jak się okazało, była to cała sieć umocnień, gdzie umieszczono artylerię obrońców. Misio rzucił granat i dosłownie wpadł do okopu. Tam zastrzelił szybkim strzałem jednego z obrońców i wymienił magazynek. Ruszył dalej okopami prowadząc część żołnierzy ze swojego oddziału. Reszta uderzała w drugą stronę - nimi przewodził porucznik Właśniak. Misio chciał oczyścić linię okopów, tak że na końcu mieli się spotkać z drugą grupą z własnego oddziału. Ruszył więc biegiem, kosząc obrońców swoim tommygunem. Gdy dotarł do pozycji pierwszego z dział, zatrzymał się. Poczekał na resztę swoich chłopaków, gdyż skończyły mu się granaty. Pożyczył więc jednego od pewnego szeregowca. Rzucił go i krzyknął: "Za mną !" Na obsługę działa posypał się grad kul i "Misiosbanditen" pobiegli dalej - nikt z artylerzystów nie przeżył. Przy drugim dziale nie mieli towarzystwa obrońców, widocznie ci uciekli w drugą stronę, w objęcia Właśniaka. Zanim się z nim spotkali, Misio zdążył zastrzelić jeszcze kilku.

Musieli odpocząć chociaż chwilę. Byli zmachani i zdyszani, pot lał

się z nich obficie. Misio miał teraz czas, aby rozeznąć się w sytuacji. A przedstawiała się ona następująco - most na Narwi był wysadzony, widocznie część obrońców przedostała się na drugi brzeg,

ale tam wpadli w objęcia batalionu nacierającego po drugiej stronie. Wzdłuż drogi, SAŁowcy zdobywali stojące tam domy i nieubłaganie parli ku remizie. Byli przy tym ostrzeliwani zajadłe z zajazdu. Misio dał swoim żołnierzom 5 minut odpoczynku, po czym ruszyli...

Dotarli dość szybko, zabijając przy tym kilku żołnierzy wroga, którzy mieli pecha znaleźć się na ich drodze. Dopadli do budynku zajazdu. Na dole, z tego co pamiętał Misio, była duża sala, natomiast na górze pokoje gościnne. To z góry był najsilniejszy ostrzał karabinowy, ale żeby się tam dostać należało się tam dostać. Misio zaryzykował wejście przez taras nad rzeką. Mieli szczęście, bo na stronę rzeki były tylko niewielkie okienka, umieszczone dość wysoko. Przez nie Misio widział, że na dużej sali było około 20 żołnierzy wroga. Kilku żołnierzy z pistoletami maszynowymi wspięło się do tych okienek, wybili szyby i rozpoczęli morderczy deszcz ołowiu. Była to krwawa łaźnia, Misio dziwił się, że ktoś przeżył. Zanim weszli do środka profilaktycznie wrzucili na salę kilka granatów, po czym wyważyli drzwi i wbiegli do zajazdu. Misio chciał teraz wykończyć tych, co znajdowali się na górze. Obrońców recepcji załatwili kilkoma granatami. Wbiegli po nie bronionych schodach na górę. Wzdłuż pokojów biegł długi korytarz, od którego odchodził drzwi do poszczególnych kwater. Musieli to zrobić szybko. Kilku żołnierzy wzięło od pozostałych granaty i wykonali brudną robotę. Podeszli powoli do pierwszej pary drzwi, otworzyli je i wrzucili parę granatów do każdego z pokoi. Kolejni żołnierze podeszli do nich, otworzyli je i ostrzelali z pistoletów maszynowych. Powtórzyli to kilka razy, dopóki nie oczyszczono góry z nieprzyjaciela. Misio wbiegł potem do jednego z pokoi i zlustrował sytuację ogólną...

A wyglądała ona tak - domy i remizę oczyszczono, obrońców na południu wycięto, a ci na drugim brzegu poddali się. Czekany zostały zdobyte. Misio sprawdził straty w swojej kompanii. Podczas ataku zgięło 15 jego żołnierzy, a 21 było rannych. Ale były to konieczne ofiary, które musiały zaistnieć w takiej sytuacji. Misio był jednak szczęśliwy, że jego plan się powiódł, a Czekany zostały zdobyte. Zmęczony, z twarzą umazaną od potu, kurzu i kamuflażu wyszedł powoli z zajazdu. Zdjął hełm a broń zwisała mu na ramieniu. Znalazł jakąś skrzynię, obrócił ją i usiadł na niej. Z zapyłonego mudnuru wyciągnął wymiętą paczkę papierosów. Wziął do ust jednego, odpalił i głęboko nim zaciągnął. Tak, to była ta chwila na jaką czekał od początku dnia. Chętnie wyciągnąłby się i poopalał, ale jakoś tak nie dało się tego zrobić na tej niewygodnej skrzyni.

- No no... Niezła robota kapitanie... - odezwał się głos zza pleców Misia. Znał go, wydawało mu się że to...

- Olka?! A co ty tu robisz? - Misiowi z wrażenia papieros upadł na ziemię - Myślałem, żeś martwa...

- Przeżyłam. Ty po tym ciosie w twarz straciłeś przytomność, a mnie zaprowadzili do innego pokoju. Nazajutrz wsadzili mnie do ciężarówki i gdzieś wywieźli. Jechałam tak może ze sześć godzin, ale coś poszło im

nie tak, bo wpadli w zasadzkę SALu. No to przyłączyłam się do nich, a że miałam praktykę w wywiadzie to zostałam oficerem łącznościowym. A uratował mnie pewien pan porucznik (tu zarumieniła się) z którym jestem zaręczona. Nazywa się Bałdyk, może go znasz...

-Tak znam... No cóż... Życzę Ci szczęścia na nowej drodze życia, chociaż twój wybranek jest cokolwiek grubiański... No ale miłość nie wybiera... - mówił lekko zawiedzionym tonem Misio. Nastąpiła chwila ciszy, podczas której patrzyli sobie w oczy. Pierwszy odezwał się Misio.

- Odchodzę słońce, rzucam to wszystko w cholerę. Mam już dość, czuję się zmęczony... Wracam do Musztardowa, ale z mojego rodzinnego dworku to raczej niewiele zostało, bo sam kazałem na nim położyć ogień moździerzowy... Takie życie... Walczę już bez przerwy ponad rok, w zasadzie to półtora. Mam prawo być zmęczony... Jakbyś kiedyś zajrzała do mnie, wraz ze swoim mężem, byłoby mi miło... Nic tu po mnie... Idę złożyć raport, potem się pożegnaję z kompanią i wracam do Musztardowa... Może ktoś pożyczy mi rower. No nie ważne z resztą. To do widzenia Olu, niech Bóg da Ci szczęścia w życiu... - Misio wstał, wziął swój sprzęt i począł kierować się w stronę sztabu.

- Czekaj ! - krzyknęła Olka. Podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona. Stali tak przytuleni ze 3 minuty, po czym pocałowała go w polik.

- Uważaj na siebie...

-

Będę... Może...

Jądro w ciemności vol. 12 - "A u was biją Murzynów, czyli przepraszam czy to Mława?"

Po prawie miesięcznej przerwie Misio powraca ! A wraz z nim kolejne przygody nieustraszonego bojownika o wolność waszą i jego. Tytuł odcinka to "A u was biją Murzynów, czyli przepraszam czy to Mława?"

Był to ciepły maj 1947 roku. Misio już dawno odłożył broń i powrócił do zwykłego życia. Odbudował swój dom, który został defacto zniszczony przez niego samego. Tak tak, było to podczas szturmowania Musztardowa. Misio kazał położyć ogień artyleryjski na dwór, który był własnością jego rodziny. Ironia losu...

Ponieważ jego rodzice nie żyli, był on ostatnim przedstawicielem swojego rodu na Ziemi. Wszystkie posiadłości rodzinne przeszły na niego. Pola które przypadły mu w spadku Misio sprzedał lub rozdał nie miał zamiaru powracać do rolniczego życia. Dwór zaś był wystarczająco duży, aby założyć w nim pensjonat. Wielu ludzi wracając z wygnania do Czekan lub Grodziska zatrzymywała się na noc u niego. Dużych pieniędzy z tego nie było, ale wystarczało na przeżycie. Misio zakładał, że kiedy już wyjdzie na prostą to zostanie nauczycielem historii w wiejskiej szkole. Wszakże był to jego wyuczony zawód i z uzyskanej wiedzy warto byłoby skorzystać.

Misio otrzymywał też rentę powojenną, od SAL i KSZ jednocześnie.

Po zakończeniu konfliktu został awansowany do stopnia pułkownika KSZ i przeniesiony do rezerwy, oraz otrzymał stopień SAŁowskiego porucznika. Nie były to wielkie pieniądze, ale wystarczyły na odbudowę dworu i rozpędzenie interesu.

Cała ta sielanka skończyła się właśnie w maju 1947 roku. Do drzwi pensjonatu zapukało dwóch smutnych panów. Byli ubrani w popielate

prochowce, mieli na głowach ciemne kapelusze, można było z daleka rozpoznać, że to tajniacy. Misio otworzył drzwi:

- Dzień dobry panom ! W czym mogę służyć? - zapytał na przywitanie.
- Pułkownik Meisnerowicz Jan? - zapytał jeden z dwóch smutnych gości.
Misio wiedział, że będą problemy. Od dawna nikt tak się nie zwracał do niego.

-Tak, słucham? - rzucił poddenerwowany Misio. W głowie obmyślał już plan jakby się pozbyć dwóch tajniaków.

- Otóż Prokuratura Wojskowa w Grodzisku wydała nakaz aresztowania Pana pod zarzutem kolaboracji, szpiegostwa i zdrady stanu. Przyszliśmy po Was.

Misio zdębiał. On, bohater wojenny, odznaczony i awansowany przez samego Księcia, jest niby zdrajcą i szpiegiem?

- Dobrze Panowie. Spodziewałem się tego. Wejdźcie, a ja wezmę swoją walizkę i pojedziemy.

Tajniacy skorzystali z uprzejmego zaproszenia i weszli. Rozgościli się w salonie i zapalili papierosy. Misio zaś poszedł do swojego pokoju.

Początkowo był zaskoczony, teraz jednak gniew uderzył mu do głowy.

Odnalazł swojego tommyguna, sprawdził magazynek i wziął sprawiedliwość w swoje ręce. Tajniacy nie zdążyli nawet zareagować. Seria posłała ich do wieczności. Misio stał się teraz banitą, renegatem wyjętym z pod prawa. Poraz kolejny w swoim życiu musiał się kryć i uciekać. Spakował najpotrzebniejsze rzeczy to swojego plecaka. Ubrał się odpowiednio, wziął hełm, amunicję i broń. Był gotowy do drogi. Zanim wyruszył wyrzucił lokatorów z pensjonatu, po czym używając benzyny puścił z dymem cały dworek. Postanowił uciec na południe, do komunistów.

Misio dotarł do Sarmackiej Republiki Socjalistycznej po dwóch tygodniach marszu. Przemierzał lasy, pola, wielokrotnie krył się przed żandarmami. Nie wiedział, czy ktoś go ściga, czy nie. Był teraz teoretycznie w innym kraju, jednak nadal była to Sarmacja. Jako porucznik SAL-u czuł się tu bezpiecznie. Postanowił pójść do delegatury komunistycznej armii w pierwszej lepszej wsi. Trafił do miejscowości Klepków. Tamtejsza siedziba oddziału SAL-u mieściła się na dawnej plebani. Misio wyglądał dość egzotycznie w swoim leśnym mundurze i hełmie. Wzbudził pewien popłoch wśród wieśniaków, gdy pojawił się na głównej drodze we wsi. On jednak nie myślał o tym specjalnie...

Biuro komendanta było urządzone w stylu socrealistycznym. Na ścianach wisały portrety Lenina, Wandy i innych komunistycznych "świętych".

Misio okazał papiery poświadczające, iż jest on porucznikiem SAL-u. Komendant, starszy łysy pan, który do szczupłych nie należał, wyteńczył wzrok czytając dokumenty. Po chwili wyciągnął okulary i na głos zaczął czytać. Gdy skończył spojrzał na Misia z wyrazem wyższości:

- No wiecie... Prawo się zmieniło od czasu wojny... Zaraz zadzwonię gdzie trzeba i sprawdzimy, czy jesteście tym za kogo się podajecie, towarzyszu.

- Oczywiście, to nie jest żaden problem - odparł przyjaźnie Misio.
Gruby komendant wykonał telefon, a w zasadzie kilka. Po ok. 15 minutach dzwonienia wszystko było już jasne.
-Towarzysz Meisnerowicz Jan, jak mniemam? - zapytał oschłym tonem

oficer.

-Tak. We własnej osobie - odpowiedział mu Misio. Wiedział, że znów będą kłopoty.

- Cóż towarzyszu... Nie powiedzieliście nam, że jesteście też pułkownikiem faszystowskiej Książęcej Siły Zbrojnej. Ponadto przed wojną byliście ponoć obszarnikiem.

- Słucham?! No to jest kurwa nonsens jakiś !

-Tak jest w papierach... Cóż towarzyszu... Według naszego prawa jesteście wrogiem ludu. Ale w zamian za zasługi położone we wspólnej walce z okupantem pozwolimy bezpiecznie opuścić kraj. Baridas?

-Absurd panie, absurd... Pan żartuje prawda?!

- Nie. Mówię całkiem poważnie towarzyszu...

- Jaa pierdole...

Misio chciał wyc z rozpazy. Jego ukochana ojczyzna wypięła się na niego... To nie tak miało wyglądać...

Jądro w Ciemności tom II - "Z wizytą u Kazia"

Wiosna roku 1949 była wyjątkowo ciepła, zwłaszcza tu, w Baridasie. Misio przebywał na emigracji już od dwóch lat. Z początku tęsknił mocno za Sarmacją, aczkolwiek z biegiem dni stopniowo przyzwyczajał się do nowej sytuacji, aż w końcu ją zaakceptował. Musiał uciekać z kraju, ponieważ

uznano go za obszarnika. Miał pecha, bo mieszkał w komunistycznej części kraju, mimo iż był również zasłużony dla sprawy tow. Wandy. Był wściekły na towarzyszy, zdawało mu się, że oni zapomnieli o jego wkładzie dla sprawy. Co więcej, został przez nich upodlony, kiedy uznano go za wroga kraju, zdegradowano i pozbawiono majątku. To było zbyt wiele dla misiowej tolerancji.

Miał

szczęście, że pozwolono mu wyjechać. W przeciwnym wypadku stanąłby przed sądem i niechybnie zostałby skazany. Za zasługi nie dostałby kary śmierci, pewno zamknęliby go w więzieniu, a tam nadgorliwy strażnik skatowałby go na śmierć. Słyszał o takich przypadkach, napawało go to obrzydzeniem i wstrętem... W Baridasie jednak nie było tak wspaniale jak to opisywali towarzysze...

Misio postanowił zamieszkać w slumsach Almery. Mimo iż był osobą dosyć zamożną jak na baridajskie warunki, a rząd Baridasu w ramach umowy z komunistami wypłacał Misiowi rentę kombatanczką. Misio z początku myślał, że ta renta to jakiś okrutny żart, okazało się jednak że była to prawda. Każdy żołnierz który walczył razem z SAL, otrzymywał rentę kombatanczką, nawet ci którzy zostali pozamykani w więzieniach. Drugim źródłem utrzymania był dla Misia handel owocami. Miał on pewną wprawę w interesach, znalazł sobie pośrednika i sprowadzał do miasta banany i ananasy i sprzedawał je sklepom po okazjnych cenach. Był najtańszy, wobec tego sklepikarze zaopatrywali się u niego. I w taki sposób Misio pomnażał swój skromny majątek.

Mimo

tego nadal mieszkał w slumsach.

Postanowił pomagać lokalnej biedocie. Był wstrząśnięty, kiedy zobaczył warunki życia niektórych mieszkańców. Swoich ubogich sąsiadów wspierał na różne sposoby – dawał im pracę w swojej firmie, ich dzieci posyłał do szkół za własne pieniądze, kiedy nie mieli w co się ubrać i co zjeść,

Misio wspierał ich małymi kwotami. Zaznaczał jednak, że jest to nieoprocentowana pożyczka, a nie darowizna. Tak chciał ich skłonić do szukania sposobów zarabiania pieniędzy, tak aby nie musieli już u nikogo żebrać. Metoda ta przypominała działalność niektórych pozytywistów z końca XIX wieku i dawała całkiem niezłe rezultaty. Za pomoc tego dziwnego Sarmaty, lokalni mieszkańcy byli niesamowicie wdzięczni. Zapraszano go na wesela, rodzinne uroczystości, stał się swoistą atrakcją okolicy. Raz czy dwa dziennikarze z miejskich gazet chcieli zrobić o nim reportaż, on jednak stanowczo odmawiał. Nie chciał robić ze swojej pomocy przedstawienia. I tak mijało mu życie, aż

do pewnego momentu...

Misio generalnie był zadowolony ze swojego życia. Po raz pierwszy od dawna, wiódł bezpieczne, powolne życie, bez obawy, że ktoś go zastrzeli czy w inny sposób zabije. Jednakże spokój Misia mąciła sytuacja polityczna w kraju. Rząd był słaby, praktycznie kontrolował jedynie duże miasta, ale i tam, zwłaszcza w slumsach, działali różnego rodzaju partyzanci, watażkowie czy bonzowie. Na terenach graniczących ze Scholandią działała partyzantka komunistyczna, obszar ten infiltrowali

też gnomi bojownicy. Wyspy zaś kontrolowała prawicowa guerilla, dowodzona przez byłego członka SS, o pseudonimie „Wolf”. Również okolice gdzie mieszkał Misio stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Misio jednak nie zdecydował się na noszenie przy sobie broni, przyrzekł sobie zaraz po wojnie, że już nigdy nie weźmie nawet pistoletu do ręki. Szybko jednak zmienił zdanie. Pewnego wieczoru, wracając ze swojej firmy do domu, został napadnięty przez chłystków z gangu, który ostatnio coraz śmiej sobie poczyniał w tej dzielnicy. Misio pluł sobie w brodę, ponieważ obrabowały go dzieciaki w wieku od 12 do 15 lat, a przecież w czasie wojny wygrywał ze

znacznie groźniejszymi przeciwnikami. Tej samej nocy, obrabowano mu mieszkanie, a dwa domy dalej zastrzelono rodzinę, która miała długi u bossa gangu. Misio rzekł sobie wtedy: „Kurwa... to się nie godzi.” Przypomnił sobie, gdzie zakopał swój karabin i pistolet.

Zaraz po przyjeździe z Sarmacji, Misio ukrył swoją broń w miejskim parku. Nie zakopał jej od tak, schował ją starannie i zabezpieczył przed korozją. Mógł ją wyrzucić, ale podświadomie uznał, że kiedyś może się mu jeszcze przydać. Miała mu być potrzebna już wkrótce... Misio łatwo odnalazł miejsce „pochówku” swojego peemu i colta. Było to 24 kroki na wschód od posągu pewnej młodej, przystojnej dziewczyny. Broń była w całkiem dobrym stanie, wymagała jedynie wyczyszczenia, nasmarowania no i amunicji. Misio wziął swoją paczuszkę i ruszył do domu, żeby przywrócić zawartość do stanu używalności.

Okazja do użycia broni nadeszła szybko. W zasadzie Misio sam sprowokował całą sytuację.

Pewnej

nocy postanowił spacerować się po okolicy, w poszukiwaniu band, które coraz mocniej dawały się we znaki mieszkańcom. Do paska miał przytroczone kaburę, a w niej swój pistolet. Przez ramię miał przewieszoną tommyguna, który wcześniej nie raz uratował mu życie. Ubrany był w długi prochowiec, w którym trzymał 3 magazynki do peemu. Tak uzbrojony wyruszył na łowy. Pierwszą grupę spotkał już 5 minut po wyjściu z domu. Było to z 6 czy 7 wyrostków, którzy próbowali obrabować samochód. Misio ściągnął z ramienia karabin i wystrzelił serię w powietrze. Rabusie nie mieli broni palnej, więc kiedy usłyszeli strzały, a potem ujrzeli wysokiego mężczyznę, zbliżającego się do nich z pistoletem maszynowym, uciekli w te pędy. Misio wiedział, że pobiegną po pomoc, że niedługo zjawi się tu grupa uzbrojona w broń palną, pistolety a może i strzelby. Usiadł sobie spokojnie na kartonie, ukrytym w zaułku pomiędzy domami i zapalił sobie papierosa.

Odsiecz nadjechała bardzo szybko. Misio zgasił swojego dymka, gdy usłyszał nadjeżdżający samochód. W parę sekund później, zza zakrętu wyłonił się stary pick-up, z 4 facetami z tyłu, uzbrojonymi w strzelby, oraz z dwoma siedzącymi w kabinie samochodu. Misio odbezpieczył Thompsona, zarepetował i wycelował. Pamiętał, że jego peem miał spory odrzut, więc złożył się tak

aby jak najbardziej zniwelować „kopanie” karabinu. Pick-up zatrzymał się, bandyci siedzący z tyłu wyskoczyli przez boki samochodu i zaczęli spokojnie iść wzdłuż ulicy, w stronę zaułka gdzie siedział Misio. Mężczyźni siedzący w kabinie samochodu pozostali tam gdzie siedzieli. Misio w

głowie miał już ułożony plan jak pokonać tych 6 chłopa. Szybko wyskoczył z uliczki i celną serią pozbawił życia dwóch gangsterów. Przeskoczył na drugą ulicę i schował się za samochodem. Pozostali zaczęli do niego strzelać. Misio wiedział, że blacha samochodu jest żadną osłoną, więc zebrał się w sobie, wychylił się zza samochodu i strzelił. Jego seria z peemu trafiła w głowę pewnego młodzieńca ze strzelba, który zapamiętale strzelał w jego stronę. Teraz wyglądał jakby coś

ogromnego wleciało mu w twarz i zrobiło w niej schowek. Ostatni żyjący z tej czwórki postanowił brać nogi za pas. Nie zabiegł daleko, gdyż szybko padł trafiony. Były to ostatnie naboje z tego

magazynku. Misio nie przeładowywał broni, postanowił teraz użyć pistoletu. Złożył się do strzału. Wystrzelił cztery razy w stronę kierowcy. Piąty strzał był celny, kierowca otrzymał trafienie idealnie między oczy. Ostatni pozostający przy życiu członek tej „grupy ratunkowej” zaczął uciekać. Wyskoczył z samochodu i zaczął biec w tą samą stronę z której przyjechali. Misio wycelował i pociągnął za spust. Broń podskoczyła lekko, rozległ się huk wystrzału. Łuska opuściła komorę nabożową i jednostajnym lotem zaczęła spadać. Koniec jej krótkiej podróży oznajmił charakterystyczny odgłos. Misio opuścił broń i spojrzął.

Szósty z bandytów leżał na ziemi, z przestrzeloną nogą. Wił się z bólu i krzyczał w niebogłoso. Misio wyciągnął papierosa, zapalił go i spokojnym krokiem skierował się w stronę jego ofiary. W magazynku miał jeszcze dwa naboje. Szedł spokojnie, widział, że tamten nie podejmie walki. Stał przed nim i z papierosem w ustach wycelował mu w głowę.

- Nie zabijaj mnie ! Jestem za młody ! – wykrzyczał bandyta.
- Przykro mi z tego powodu, ale nic na to nie poradzę – spokojnym, acz stanowczym głosem, odpowiedział mu Misio.
- Aaa... Jezu ! Błagam Cię, nie zabijaj !
- Pomyślimy. Po co tu przyjechaliście?
- Bo jakiś idiota strzelał do naszych z pistoletu maszynowego.
- Gdzie teraz są twoi rodzice?
- W domu...
- Chcesz jeszcze ich zobaczyć?
- Tak ! Błagam, nie zabijaj mnie !

–
To będziesz gadał, gnoju. Wyśpiewasz mi wszystko, dla kogo pracujesz, ilu was jest, gdzie jest wasza melina i tak dalej. Zachowam Ci życie, ale jeżeli okaże się, że mnie kłamałeś, znajdę Cię nawet u diabła w dupie. Aha... I jeśli spotkam Cię kiedyś jeszcze na ulicy, w towarzystwie jakiejś bandy, bez sentymentów pošlę Cię do piachu... A teraz gadaj, frajerze !
Jądro w ciemności t. II rozdział II - "Srebrny beam"

Rozdział II – „Srebrny beam”

„Gdybym miał granaty...” pomyślał Misio skradając się do kryjówki bossa lokalnego gangu. Chłopak, którego postrzelił dzień wcześniej, wyśpiewał mu wszystko. Podał adresy, nazwiska, kto jest kim i tak dalej. Zadaniem Misia było wyeliminować tych zwyrodnialców, najlepiej za pierwszym i jedynym podejściem. Przedłużanie całej tej imprezy, mogło go kosztować życie. A tego Misio nie chciał, miał przecież dopiero 38 lat, było jeszcze dużo wiosen do przeżycia. Nie został zabity na wojnie, nie został zabity nawet jak go schwytali Scholandczycy, także nie miał zamiaru ginąć z ręki jakichś smarkaczy, na dodatek zwyrodniałych amatorów i zboczeńców. Zamarzył mu się teraz papieros...

Boss gangu miał pseudonim Carlito. „Dosyć kretyńska ta ksywka” pomyślał Misio, kiedy ją usłyszał. Z zeznań postrzelonego chłopaka wynikało, iż Carlito miał ok. 170 cm wzrostu, krótkie czarne włosy, śniadą cerę i brązowe oczy. Urodził się ponoć 21 lat temu i zdążył mieć już dwie żony. Każda z nich skończyła w cementowych butach w basenie portowym, podobno nie należały do tych wiernych. Postrzelony chłopak (miał na imię Juan, jak się potem okazało) zeznał też, że Carlito jest osobą bezwzględną i okrutną, że uwielbia coca-colę i że pali tylko scholandzkie papierosy. Ta ostatnia cecha przypadła Misiowi do gustu, ponieważ on sam palił jedynie fajki

importowane z kontynentu. Melina gangu miała znajdować się ok. 4 km od domu w którym mieszkał Misio. Był to stary magazyn dreamlandzkiej firmy owocowej, która handlowała papajami, bananami, ananasami i bronią. Nie był może bardzo duży, ale w środku było wystarczająco miejsca, żeby pomieścić kradzione samochody, przedmioty oraz członków gangu i ich uzbrojenie. Banda miała liczyć ok. 20 osób, z czego 10 było uzbrojonych w strzelby, a sam Carlito do zabijania

używał angielskiego STEN-a. Misio nie cenił wysoko tych pistoletów maszynowych, uważał je za prymitywne i pozbawione klasy, że składali je pozbawieni wyobraźni inwalidzi, że na pewno były zrobione z drewna. Kiedyś miał okazję strzelać ze STEN-a, zaciął mu się wtedy po wystrzeleniu jednego magazynku, mimo iż używał go zgodnie z zaleceniami producentów (nie łapał za magazynek). „Taaak... To były czasy...” rozmarzył się Misio i ruszył zbierać ekwipunek potrzebny mu do akcji.

Stał teraz pod magazynem, zły że nie ma granatów, wściekły że dał się wrobić w jakieś gangsterskie porachunki z gówniarzami, pewny że zginie z ręki jakiegoś młokosa. Obejrzał dokładnie budynek, który miał szturmować. W środku paliło się światło, było widać zza okna, że ktoś jest w środku. Misio zebrał się w sobie, zarepetował Thompsona, sprawdził swój pistolet, odpalił fajkę i ruszył w stronę magazynu. Serce waliło mu jak oszalałe, nie lubił działać w pojedynkę, zwłaszcza jeżeli przeciwko sobie miał mieć 20 chłopa. Gdyby tak miał ze dwóch ludzi do pomocy, wszystko poszłoby łatwiej. Ale był sam... „Muszę przyjąć to na klatę” stwierdził idąc do najbliższego okna. Zakradł się do niego i ostrożnie popatrzył przez szybę. Nie było nikogo w tym pomieszczeniu, zbił więc jedną tafelę szkła kolba swojego peemu i po cichu otworzył okno. Kocim ruchem wskoczył do środka, odbezpieczył broń i rozpoczął polowanie. Był zły, wybitnie zły, pragnął krwi. Przerazało go to poniekąd, ponieważ jeszcze nigdy się tak nie czuł, nawet gdy beznamietnie likwidował Scholandczyków. „Niedobrze ze mną, baaardzo niedobrze” stwierdził i ruszył do drzwi.

Podchodził do drzwi po cichu, najbardziej jak tylko potrafił. Starał się nie wydać ani jednego odgłosu, co było trochę zabawne, skoro wcześniej wybił szybę w oknie. Liczył na to, że bandyci może tego nie usłyszeli. Kiedy podszedł do owych drzwi, które prowadziły do głównej hali magazynu, wziął głęboki oddech i najdelikatniej jak tylko mógł, nacisnął na klamkę. Miał szczęście, że nic nie zakrzypiało kiedy je otwierał. Powoli wychynął zza drzwi i popatrzył na halę. Było ich tam może z dziesięciu, góra jedenastu. Kiedy podchodził do budynku, wydawało mu się iż słyszy więcej osób. W sumie wyszło mu to na plus, bo szanse jego przeżycia wzrosły. Nadal jednak czuł, że zginie. Mógł się wycofać, mógł to wszystko mieć gdzieś, mógł się wyprowadzić stąd do lepszej dzielnicy, gdzie wojsko pilnowało porządku. Mógł, ale nie chciał. Coś trzymało go przy tej biedocie i ta sama siła, która nie pozwalała mu opuścić slumsów, kierowała go teraz do owej hali, gdzie siedziało dziesięciu uzbrojonych facetów, każdy gotowy go zabić tylko jednym strzałem. Misio miał natłok myśli, co najmniej z tysiąc na sekundę. Krew pulsowała mu na całym ciele, czuł, że się pocił, że zaschło mu w gardle. Miał teraz niesamowitą ochotę sobie zapalić. Ale nie mógł. Ta myśl o owym papierosie, sprawiła, że postanowił się pospieszyć. Rach ciach ciach i będzie po kłopotcie, parę serii z thomsona i pójdzie do domu. Zaczął planować.

Misio zauważył małą galeryjkę, biegnącą wzdłuż ściany, tuż przy suficie. Miał stamtąd doskonały widok na całą halę, dodatkowo miejsce tamto nie było oświetlone. Mógł więc wejść tam po cichu, przeczołgać się, położyć, wycelować i strzelić nie będąc zauważonym przez osoby w środku. Misio szybko zlustrował ową galeryjkę. Jego wzrok zatrzymał się na paru metalowych skrzyniach, które stały tam na górze, jedna obok drugiej. Misio pomyślał, że mogą mu dać jaką taką ochronę przed pociskami przeciwników. Powoli, pozostając w cieniu, zakradł się na schody. Każdy krok, każde postawienie stopy na stopniu schodów, wykonywał najciszej jak tylko potrafił. Wchodził tak powoli, aż w końcu znalazł się na galeryjce. Cały czas był niewidoczny dla przeciwników. Kiedy zaszedł na górę, bez pośpiechu położył się i mozolnie, w żółtym tempie, począł czołgać się w stronę tych skrzyń. Odległość ok. 15 metrów przebył w ciągu dziesięciu minut. Ślimaczył się niemiłosiernie, zdążył w tym czasie spocić się potwornie. Myśl o tym jednym, przesmaczonym,

przewspaniałym, idealnym papierosie sprawiały, że Misio pocił się potrójnie. W końcu doczołgał się do skrzyń i zaczął lustrować sytuację na dole, tak jak sokół szykujący się do zanurkowania na ofiarę.

Sytuacja wyglądała dosyć interesująco – Carlito (Misio poznał go po karabinie) siedział tyłem do

niego, rozparty w fotelu, popijał colę i zaciągał się papierosem. Trzech siedziało przy stoliku i prawdopodobnie pili rum. Każdy z tej trójki był uzbrojony w dwustrzałową strzelbę myśliwską. Dalej czworo siedziało przy stoliku i grało w pokera na pieniądze. Dwóch miało pistolety, dwóch strzelby. Pozostałych dwóch spało na improwizowanych łóżkach ze skrzynek po owocach i słomy, przykrywając się worami po bananach. Ci byli nieuzbrojeni, ich broń stała parę metrów od nich, prawdopodobnie rozładowana. Misio opracował prowizoryczny plan. Postanowił na początek kropnąć Carlita, co by nie mógł dowodzić ani strzelać ze swojego peemu. Układając swój plan, Misio już od razu wiedział, że na początku musi kropnąć dowódcę bandy. Było to niezgodne z kodeksem rycerskim, kanonem sztuki i tak dalej. Pamiętał jak oglądał kiedyś westerny, i tam widział, że główny zły walczył z tym dobrym bohaterem zawsze na końcu. Zawsze. Nigdy na początku. No ale z drugiej strony wydawało mu się to logiczne – po co miałby walczyć na początku, przecież wtedy o czym miałby być ten film? O wypasaniu krów? Nigdy w życiu. Dalej Misio myślał, że w sumie to tak nieelegancko strzelać od razu do dowódcy. Ale tutaj szybko przypomniał sobie jak instruował swoich strzelców wyborowych – kazał im zawsze celować w oficerów, żeby zdezorganizować system dowodzenia. I tak też miał postąpić w tym momencie.

Misio ściągnął z pleców swojego tommyguna. Obejrzał go jeszcze przed złożeniem się do strzału. Sprawdził, czy wszystko jest w porządku, ustawił tryb ognia na pojedynczy i przyłożył kolbę do ramienia. Wziął oddech i przez chwilę go wstrzymał. Głowa Carlita usadowiła się centralnie między muszką i szczerbinką. Misio wiedział, że to jeden z jego ważniejszych strzałów w życiu, przez umysł przelatywało mu milion myśli. Wiedział, że nie może zerwać strzału. Wyteżył wzrok w celownik, czas przez chwilę przestał płynąć. Misio płynnym ruchem nacisnął na spust, broń podskoczyła lekko. Ołowiany pocisk rozpoczął swój bieg w stronę głowy zbira. Misio puścił spust dopiero wtedy, kiedy był pewnym, że w głowie Carlita tkwi metalowa kulka. Tak też się stało.

Kula

trafiła idealnie w tył głowy, przewierciła się przez czaszkę i dotarła do mózgu, tam zaś zrobiła lekki bałagan. Carlito przestał się liczyć w tej rozgrywce, w ogóle przestał cokolwiek. Misio szybkim ruchem palca przełączył tryb ognia na strzelanie seriami i skierował wylot lufy swojego thompsona w stronę owych trzech siedzących gangsterów, którzy popijali rum. Misio wystrzelił jedną serię, trafiły cztery kule. Jedna ugodziła pewnego młodego latynosa w głowę, drugi otrzymał pocisk w płuco i leżał krwawiąc obficie na ziemi, ciągle żyjąc i harcząc głośno (umarł parę minut później, wykrwawiając się na śmierć; kulka w płuco to niemal pewny bilet na tamten świat). Trzeci zaś otrzymał dwa trafienia w obojczyk, które zmiotły go z krzesła na którym siedział. Upadając na betonową podłogę, rozbił sobie głowę i stracił przytomność. Misio dobił go później strzałem z pistoletu w głowę. I tak oto, w parę sekund były już 3 trupy i jeden ranny. Ciągle na placu gry pozostawało 6 graczy...

Tych dwóch co spali Misio zastrzelił, kiedy biegli po swoją broń. Tych czterech co grali w pokera, szybko podzieliło los swoich współtowarzyszy. Misio więc, w chwale zwycięzcy, schodził powoli na plac boju. Zadowolony z siebie, że poszło mu tak łatwo. Nagle rozległ się strzał, Misiowi momentalnie pociemniało w oczach...

Jądro w ciemności t. II rozdział IV - "Iza, ty z Łysym byłaś???"

Rozdział IV – „Iza, ty z Łysym byłaś???”

Był to słoneczny, ciepły dzień. Idealny na spacer po parku, po plaży, do supermarketu. Misio jednak nie miał głowy do przechadzek. Śpieszył się teraz na naradę wojskową. Był już spóźniony, więc

szedł zdyszany w stronę okazałego gmachu na Placu Republiki w Almerze – do Sztabu Generalnego. Tam, w pokoju 402, odbywała się narada, dotycząca wysłania do akcji Batalionu Sił Specjalnych, w którym to Misio służył.

Owa jednostka składała się z trzech kompanii, każda po 100 osób i każdą dowodził zagraniczny

oficer. Kompanią A dowodził kapitan von Steuben, emigrant ze Scholandii, wyrzucony z kraju pod rzekomym zarzutem malwersacji i zabójstwa, w rzeczywistości nie podobał się swojemu przełożonemu, który sfabrykował dowody, żeby pozbyć się von Steubena. Dowódca kompanii A był wysokim szatynem, w wieku około 35 lat i miał za sobą długi okres służby w wojsku. Walczył w Sarmacji, gdzie odznaczył się odwagą i talentami taktycznymi. Wysłany później do Scholandii, szkolił oficerów polowych. Kompanią B dowodził kapitan Bosche, również Scholandczyk. Ten z kolei był dobrowolnym emigrantem. Wyjechał z kraju, gdyż nie odpowiadała mu sytuacja w ojczyźnie, gdzie z wojska wyrzucano zasłużonych oficerów, tylko dlatego że walczyli w Sarmacji. Rodzina jego zginęła w czasie wojny w jednym z wielu nalotów, dlatego w Scholandii nie trzymało go nic. Ostatnią kompanią – C, dowodził kapitan Jan Meisnerowicz, pseudonim Misio...

Misio z początku był nastawiony sceptycznie do wspólnej służby z oficerami ze Scholandii. Kilka lat wcześniej walczył przeciwko nim, narażał życie aby wyrzucić ich z kraju. Teraz, razem z nimi, miał nadstawić karku za cudzą sprawę. Ot ironia losu... W dowództwie batalionu był jedynym Sarmatą, resztę stanowili Scholandczycy. Sam major również był przybyszem ze Scholandii. Nazywał się Immelman, a do Baridasu przybył z nie znanych przyczyn. Nikt nie wiedział skąd się wziął, ani gdzie walczył, jednakże nie kwestionowano jego stopnia wojskowego. Misio początkowo obawiał się, że ta scholandzka „klika”, jak ich z początku nazywał, będzie odnosiła się do niego z pogardą i że będą go wysyłać do brudnej roboty. Jak się potem okazało, mylił się całkowicie. Wszyscy oficerowie zaprzyjaźnili się ze sobą i stanowili zgrany zespół, co miało wkrótce być potrzebne, gdyż szykowano ich batalion do walki. Dokładny plan akcji, mieli poznać na naradzie, na którą Misio spóźnił się nieznacznie.

- Przepraszam, jechałem autobusem. Spóźnił się troszkę i dlatego nie byłem na czas... – wybełkotał zdyszany Misio, kiedy wpadł do pokoju 402.

- Cóż, panie kapitanie, następnym razem proszę się nie spóźnić. Spóźniałstwo nie świadczy dobrze o oficerze ! – powiedział surowym tonem major Immelman – Dobrze, nie czas na to. Przejdźmy zatem do narady. Panowie – armia chce nas wysłać tutaj... – major pokazał palcem miejsce na mapie.

- Dżungla? – zapytał zdziwiony kapitan Bosche – Nie szkoliliśmy chłopaków do działań w dżungli...

- Cóż, będą musieli sobie poradzić. Spytacie pewno panowie czemu akurat tam. Otóż, teren ten jest obszarem działań dużego oddziału komunistycznej partyzantki, który pustoszy okoliczne wioski i zastrasza wieśniaków. Sztab Generalny chce przeprowadzić atak właśnie tam, żeby pokazać społeczeństwu, że armia walczy i że armia wygrywa. Jest to teraz bardzo potrzebne, zważywszy na to, że rząd się chwieje a sytuacja wewnętrzna jest bardzo zła. Takie zwycięstwo nad partyzantami podniosłoby morale narodu, ale też i armii. Do tej pory cały czas przegrywaliśmy, teraz czas przejść

do kontrataku. Niestety, z danych wywiadu, wynika też, że obszar na którym będziecie działać, jest infiltrowany również przez partyzantów z Gnomiej Armii Republikańskiej. Pojedyncze oddziały GAR przenikają czasem granicę ze Scholandią i atakują wioski, celem zdobycia zapasów. Każdy napotkany oddział Gnomów należy zniszczyć. Sztab Generalny zakazuje brania jeńców.

- Czy otrzymamy wsparcie lotnicze? Lub ewentualne zrzuty z powietrza, kiedy skończy się amunicja? – zapytał Misio.

- Niestety, nie dostaniemy wsparcia z powietrza, ani zrzutów. Jeżeli braknie wam amunicji, wykorzystajcie zdobyczną broń. Dobrze... Więc, każda kompania będzie działała samodzielnie. Otrzymacie mapy, z zaznaczonymi na nich rejonami działania. Starajcie się unikać kontaktu między

waszymi oddziałami. Niech partyzanci myślą, że rzuciliśmy do akcji większe siły, a nie tylko jeden

batalion. W przypadku napotkania wroga, starajcie się nie wdawać w potyczkę. Są liczniejsi, w otwartym starciu nie dacie im rady. Próbujcie organizować zasadzki, lub atakujcie w nocy, z zaskoczenia. Niestety, akurat w tym wypadku starajcie się stosować taktykę walki partyzanckiej. Ma to swoje zalety, bo komuniści nie są przyzwyczajeni do tego, że to ktoś wobec nich stosuje partyzantkę. Zbierzcie swoje kompanie, przedstawcie plan działań jedynie swoim oficerom. Pojutrze wypływamy na kontynent. Niech będą gotowi. Szczegóły dotyczące wymarszu otrzymacie

dzień wcześniej. Jest to akcja tajna, dlatego nie zdradzać jej nikomu z poza waszych oddziałów. Dobrze, jakieś pytania?

-Tak panie majorze, a co jeśli nie napotkamy przeciwnika? – spytał kapitan von Steuben.

-Wtedy, ale dopiero po otrzymaniu mojego polecenia drogą radiową, możecie wycofać się na pozycje wyjściowe, celem uzupełnienia zapasów. Jeszcze jakieś pytania?

- Nie, panie majorze.

- No to odmaszerować ! Powodzenia chłopcy.

„Walka partyzancka... Przednio” myślał Misio wychodząc z narady. Był on nawet z tego zadowolony, w przeciwieństwie do jego kolegów, którzy byli typowymi oficerami piechoty, szkolonymi w otwartej walce. Widać, że sam zapomniał, iż niegdyś również był oficerem polowym piechoty. To, że jego pułk miał w nazwie zmotoryzowany, oznaczało jedynie tyle, że w przeciwieństwie do innych jednostek piechoty, dowożonych na pole walki wozami konnymi lub docierających tam na piechotę, jego żołnierze byli przywożeni tam za pomocą ciężarówek. Tak właśnie wyglądała motoryzacja sarmackiej armii w 1941 roku. Misio niewiele pamiętał z wykładów

dla oficerów piechoty, z zajęć z taktyki i tak dalej. Ostatni raz walczył w otwartym polu w 1944 roku, w bitwie o Czekany, jednak niewiele miało to wspólnego z tym, czego uczyli go w szkole oficerskiej. Był to jego własny plan, kwintesencja partyzanckich akcji w stylu uderz i uciekaj, w tym wypadku jednak bez ucieczki. Pamiętał, że uczono go, żeby atakować dużym oddziałem, całą falą. Tego sposobu użył tylko raz, w pierwszym swoim starciu w życiu, kiedy okazało się że ta taktyka jest nieskuteczna. Jego oddział został zmasakrowany przez broń maszynową, co wyglądało mniej więcej tak samo jak natarcia w czasie I wojny światowej. Od tamtej pory wypracował swój własny styl walki, zakładający jak największe wsparcie ogniowe nacierających drużyn. Co ciekawe,

Sztab Generalny KSZ, w przededniu wojny, opracował nową doktrynę wojskową, zakładającą zmasowany ostrzał artyleryjski przed rozpoczęciem ataku, oraz bliskie artyleryjskie wsparcie ogniowe nacierających oddziałów. Dodatkowo zwiększono też siłę rażenia poszczególnych kompanii, przydzielając im sekcje moździerzy i cekaemów. Misio miał okazję oglądać nową taktykę na poligonie, gdzie wszystko odbywało się perfekcyjnie. Wywarło to na nim ogromne wrażenie, ta cała przytłaczająca przewaga ogniowa. Jak pokazała praktyka, taktyka ta była skuteczna, jednak z braku wyposażenia nie udało się jej całkowicie wcielić w życie. Później Misio stwierdził, że SAL walczył w podobny sposób, rozpoczynając każde natarcie przygniatającym ostrzałem artyleryjskim.

Kompania Misia składała się z trzech plutonów. Pierwszym dowodził porucznik Alba, młody wychowanek szkoły oficerskiej, pochodzący z dobrej i zamożnej rodziny plantatorów, gdzie tradycją było wysyłanie synów do szkoły oficerskiej, a po odbyciu służby przejmowali rodzinny interes – plantacje bawełny. Porucznik Alba był osobą odważną aczkolwiek trochę zarozumiałą. Nie

miał jednak doświadczenia bojowego i specjalnie nie wykazywał własnej inicjatywy, jednakże wzorowo wypełniał wszystkie rozkazy przełożonych. Drugim plutonem dowodził podporucznik Garcia, trzydziestoletni wychowanek almerskich slumsów, który w armii służył od lat dwunastu i przeszedł całą drogę awansu od szeregowca. Posiadał duże doświadczenie bojowe, jednak czasem zachowywał się nielogicznie czym denerwował Misia. Mimo swych wad, był solidnym ogniwem kompanii i Misio mógł na niego liczyć w każdym momencie. Dowódcą trzeciego plutonu był podporucznik Toledo, absolwent szkoły oficerskiej, przeciętny dowódca, przeciętny człowiek. Nikt nie spodziewał się po niczego szczególnego...

Misio, na specjalnej naradzie, poinformował swoich oficerów o zbliżającej się misji. Plan działania przyjęli bez zbędnych emocji, jak typowi profesjonaliści. Misio zastanawiał się, czy poradzą sobie w boju z tak doświadczonym przeciwnikiem jak partyzantka komunistyczna, czy pododdziały Gnomiej Armii Republikańskiej. Byli dobrze uzbrojeni i wyekwipowani, każdy z nich wiedział, że nie może zawieść swojego dowódcy. Misio polecił im, aby każdy z nich wziął ze sobą zapasowe noże i skarpety, bo mogą być potrzebne tam, gdzie się udadzą. Żołnierze kompanii C ufali swojemu

dowódcy, wiedzieli że jego doświadczenie jest ogromne i że w razie czego pomoże wydostać im się z opresji. Z początku podchodzili do niego z dystansem, był przecież człowiekiem z zewnątrz, ale szybko zmienili zdanie. Na ćwiczeniach na poligonie, udowodnił im że jest dobrym oficerem, kiedy ich oddział zwyciężył w grach wojennych.

W rejon operacji trafili w miesiąc po naradzie. Była to nieprzyjemna okolica, z dżunglą, chmurami komarów, upałem i wilgotnym powietrzem. W takich warunkach Misio jeszcze nie walczył. Marsz w takich warunkach był prawdziwym sprawdzianem wytrzymałości dla żołnierza, zwłaszcza jeżeli szli po drogach, które po deszczu zmieniały się w morze błota, a padało tu codziennie. Pocili się przy tym obficie, więc priorytetem było zapewnienie im wody. Kompania otrzymała na wyposażeniu specjalne tabletki do uzdatniania wody, tak aby można było korzystać ze strumieni płynących w lesie. Po wrzuceniu takiej pastylki, woda stawała się dobra do spożycia, aczkolwiek śmierdziała przy tym niemiłosiernie. Takie były warunki życia w dżungli. Dla Misia był to szok. Przyzwyczajony do walki w mniej ekstremalnych warunkach atmosferycznych, męczył się strasznie. Ale wiedział, że nie może zawieść, bo wtedy marny jego los. Co ciekawe, kiedy dotarli w ten rejon, Misiowi całkowicie odechciało się palić. Być może ze względu na wilgotne powietrze, zaraz kiedy przybył zapalił jednego dymka, ale był po nim potwornie zmęczony. Szkoda mu było sił na palenie, skoro musiał być w idealnej formie przed starciem z silnym przeciwnikiem. Misio postanowił poruszać się jedną linią, każdy pluton miał działać w odległości ok. 500 metrów od siebie. Stworzył też drużynę, dowodzoną przez porucznika Albę, która miała iść na czele kompanii i

wypatrywać przeciwnika. Jeżeli by takiego wykryto, Alba miał informować Misia drogą radiową, który teraz osobiście przejął pierwszy pluton, pod nieobecność porucznika. Poruszanie się w dżungli było potwornie męczące. Musieli sobie dosłownie wyrąbywać przejście przez rośliny. Właśnie tutaj Misio przypomniał sobie, jak jeszcze przed wojną czytał reportaże z Baridasu.

Było to w roku 1938, kiedy to połączone wojska scholandzkie, sarmackie, dreamlandzkie i armia baridajska walczyły z prawicową partyzantką w dżungli. Cała ta operacja była obficie relacjonowana w prasie sarmackiej, było dużo zdjęć, artykułów o bohaterskich żołnierzach sarmackich walczących o światowy pokój i tak dalej. Właśnie wtedy ukazał się artykuł, a w zasadzie humorystyczna wzmianka, o tym jak to Sarmaci złapali jakiegoś partyzanta. Zadali mu wtedy pytanie, kto według niego jest najlepszym „jungle fighterem”. Sarmaci? Scholandczycy? Dreamlandczycy? Partyzant odpowiedział im, że Dreamlandczycy, bo oni po prostu usuwali dżunglę. Fakt faktem, każde dreamlandzkie natarcie było poprzedzane ogromnym ostrzałem artyleryjskim i bombardowaniem lotniczym, które po prostu zmiatało dżunglę z powierzchni ziemi. Misio doszedł do wniosku, o ile byłoby łatwiejsze życie, kiedy by teraz ktoś usuwał im tą dżunglę z przed nosa.

- Panie kapitanie ! Chyba coś mamy ! – odezwał się przez radio porucznik Alba – To jest jakiś obóz

chyba, na pewno nie naszych !

Misio został wytrącony tym komunikatem ze swoich rozmyślań. Szybko doszedł do wniosku, że walka może być w gruncie rzeczy przyjemna, bo przecież przełamię w końcu tą monotonię mozolnego przedzierania się przez dżunglę...

- Proszę się nie ruszać poruczniku, już do pana idę ! – rozkazał Misio – Mendoza, David, Zabaloui i

Camacho do mnie ! Idzicie ze mną !

I tak w piątkę ruszyli w stronę porucznika Alby, który prawdopodobnie wykrył wroga...

Jądro w ciemności t. II, rozdział V - "Okłapłe uszko Misia"

Rozdział V – „Okłapłe uszko Misia”

Porucznik Alba i jego drużyna znajdowali się w tym czasie ok. 500 metrów przed Misiem, który

teraz przedzierał się przez dzikie chaszcze, aby do nich dotrzeć. Przebycie tego, zdawać by się mogło, krótkiego odcinka, zajęło Misiowi ponad pół godziny. Cały czas pozostawał w kontakcie radiowym z porucznikiem Albą, dzięki nowemu dziecku baridajskiej myśli elektrotechnicznej – krótkofalówce. Ten ciężki i niezgrabny przyrząd służył do porozumiewania się na odległość. Misio uznał, iż jest to dobra rzecz, ale ni cholery nie nadaje się do dżungli, kiedy musisz oprócz niej taszczyć własną broń, wyposażenie osobiste, gdzie jest gorąco i wilgotno, gdzie musisz sobie wyrąbywać w lesie każdy, nawet najmniejszy krok, gdzie cały czas nad głową wrzeszczą rajskie ptaki, małpy i Bóg wie co jeszcze, gdzie na dodatek musieli usadowić się ci cholerni, komunistyczni partyzanci. Dlaczego akurat dżungla?! „Kurwa mać” zaklął Misio, kiedy po raz niewiadomo który wywalił się o leżący, stary konar. Był wściekły i chciał wracać natychmiast do swojego almerskiego mieszkania, chociaż już dawno mogło zostać obrabowane, spalone, zalane czy rozebrane. I wtedy, pierwszy raz odkąd wyjechał z Sarmacji w 1947 roku, przypomniała mu się ona, ta jedyna i momentalnie zrobiło mu się jeszcze bardziej źle.

Kiedy w końcu dotarł na miejsce, Miguel Alba, człowiek młody, acz doświadczony przestraszył się wyraźnie na jego widok. Misio po przebyciu tych morderczych 500 metrów przypominał dzikusa, którego jedynym zajęciem jest jedzenie ludzi. Nigdy jeszcze nie widział swojego kapitana w takim stanie. Na taki, a nie inny wygląd Misia, złożyło się parę czynników, o których porucznikowi Albie nawet się nie śniło. Postanowił jednak nie zginąć z rąk własnego dowódcy i ograniczył się jedynie do przekazania tego, co wykryli.

- Panie kapitanie, melduje iż wykryliśmy obóz wroga, dwieście metrów poniżej. O tam na polance siedzą, widzi pan kapitan? – porucznik Alba dla podkreślenia efektu pokazał ręką dokładnie gdzie, aczkolwiek ton jego głosu był wyraźnie uległy. Nie chciał ryzykować.

- Daj no lornetkę swoją, bo moja została w tej pieprzonej dżungli... Nienawidzę tego miejsca...

- Proszę panie kapitanie – powiedział Miguel Alba, podając mu swoją lornetkę – Czy zaatakujemy ich, panie kapitanie?

- Hmm... Wydaje mi się, że tak, ale nie teraz. Poczekamy, aż się ściemni, chyba że... – Misio popatrzył przez lornetkę – Nie. Uderzymy w nocy. Daj no radio...

- Proszę panie kapitanie – odpowiedział jakiś szeregowiec.

- Poruczniku Toledo, jesteśmy 500 metrów przed panem. Proszę podciągnąć kompanię tutaj do nas, tylko zróbcie to w miarę cicho. Wykryliśmy chłoptasiów i szkoda byłoby ich wypłoszyć.

- Ta jest, panie kapitanie – odpowiedział mu zniekształcony przez słuchawkę głos.

- Chłopakami mają nie dowcipkować, tylko zamknąć mordy i tutaj przyjść. Nie ociągać się, nie rozłazić. Widzę was tutaj, za maksymalnie 45 minut. Wykonać – zarządził Misio.

- Rozkaz, panie kapitanie – powiedział, tym razem mniej zawadiackim głosem, porucznik Toledo. Misio jeszcze raz wzięty swoją lornetkę i popatrzył przez jej szkła, tam na dół, na ową polankę, gdzie obozowali komuniści. Musiał wyteżać swój wzrok, gdyż jego zmęczenie sprawiało, że widział troszkę gorzej. Naliczył w tym momencie ok. stu uzbrojonych partyzantów, ale coś głęboko w nim, tam w środku Misia, podpowiadało mu, że będzie ich więcej. Opracował zatem plan. Rozciągnął swoje plutony na kształt półksiężyca i rozmieścił je na skraju dżungli, ok. 200 metrów ponad przeciwnikiem. Akcję postanowił rozpocząć zmasowanym ogniem karabinów maszynowych i granatników piechoty, tak aby już na samym początku zdemoralizować wroga i zadać mu jak najwięcej strat, zanim otrząśnie się już z pierwszego zaskoczenia i skonsoliduje obronę. Misio musiał uchwycić ten moment, kiedy skończy już ostrzeliwać przeciwnika z cekaemów i granatników, żeby ruszyć swoją kompanię w dół i całą morderczą furią zaatakować komuchów, zanim zdążą się okopać i wystrzelać ich jak psy. Mieli atakować tuż po zmroku, tj. gdzieś koło godziny 23. Każdy z żołnierzy miał być gotowy do walki i tuż przed nawałą ogniową powinien

wybrać swój cel, aby zwiększyć jak najbardziej początkowe straty. Umówionym sygnałem do otwarcia ognia miała być zielona raca, która Misio miał wystrzelić równo o godzinie 23. Ogień miały rozpocząć owe mordercze granatniki, żeby jak najlepiej wykorzystać demoralizujący efekt ich wybuchów, czy też samego świstu pocisków. A wyły one zaiście złowrogo, kiedy

majestatycznie szybowwały w stronę swoich celów. Misio, z tak dokładnie opracowanym planem i po wydaniu dyspozycji swoim żołnierzom, usiadł w jakimś zagłębieniu w dżungli, koło radiotelegrafisty i zaczął sprawdzać swoją broń. Najpierw sprawdził tommyguna, potem swój pistolet. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Potem sprawdził granaty i tutaj przypomniała mu się pewna sztuczka, jakiej nauczyli go żołnierze piechoty morskiej, kiedyś na wspólnych manewrach. Otóż zawleczeni granatów były przypinane do klipsów paska, tak że żołnierz wyciągał granat już odbezpieczony i po prostu rzucał. Był to sposób dosyć niebezpieczny, Misio wielokrotnie, już w czasie wojny, widział jak chłopakom z jego oddziału granaty, właśnie dzięki temu przypinaniu zawleczek, odrywały tyłki. I wtedy znów przypomniała mu się Olka... „Kurwa... Co jest? Coś nie tak ze mną...” pomyślał Misio i pospiesznie napił się wody z manierki. Położył się i próbował się trochę zdrzemnąć. Do rozpoczęcia akcji było jeszcze parę godzin.

Misio został obudzony przez swojego radiotelegrafistę. Był zły, ponieważ miał przyjemny sen (przynajmniej tak mu się wydawało), a ten mały gnojek miał czelność go budzić. Odburknął mu coś

i spojrzał na cyferblat swojego zegarka. Dochodziła 22.45 i czas było się zbierać. Misio rozkazał wyjść swoim żołnierzom na pozycje, ci jednak siedzieli tam już od pół godziny, zaraz po tym jak się ściemniło. Rad tym zachowaniem swoich podopiecznych, zasiadł na wyznaczonym miejscu i zaczął obserwować polankę. W tym momencie zauważył coś, czego spodziewał się od dawna.

Otóż

do obozu powracał właśnie oddział wroga, którego liczebność Misio oszacował na stu ludzi, co dawało w sumie 200 chłopca do wystrzelania. Nie pocieszyło go to zbyt, mimo tego dał rozkaz szykowania się do walki. Żołnierze sprawdzali broń, pili z manierek, niektórzy nerwowo patrzyli na

zegarki, na ich twarzach wyraźnie widać było napięcie. Przecież mieli po raz pierwszy iść w bój... Ale Misio nie martwił się zbyt o nich, byli przecież wyszkoleni, a uczył ich nie byle kto, a on sam, bohater wojenny, doświadczony żołnierz... Spojrzał znów na swój zegarek – za parę sekund miała wybić godzina 23. Przygotował więc racę i kiedy duża wskazówka zatrzymała się na cyfrze 12 wystrzelił ją. Zielony punkcik uniósł się nad polanką i powoli spadał w dół. Na to czekali jego żołnierze – na ten jeden jedyne sygnał. Zaczynała się bitwa...

W tym samym momencie, w którym na niebie pojawiła się zielona raca, dziewięciu roślących i odważnych baridajskich żołnierzy, uniosło w sumie dziewięć granatników, w tym samym momencie pociągnęło w sumie za dziewięć spustów i wystrzeliło w sumie dziewięć pocisków. Minęły ułamki sekundy, kiedy w dole wykwitło w sumie dziewięć wybuchów, oznaczających eksplozję granatów. W tym samym momencie, kiedy w sumie dziewięć granatów oznajmiło kres swej drogi, rozpoczął się zmasowany ogień maszynowy. Cekaemy pluły śmiercionośnymi kawałkami ołowiu bez litości, masakrując potwornie niczego niespodziewających się partyzantów, którzy właśnie zasiadali do kolacji. Nie byli gotowi na to co miało nastąpić, nikt z nich nie przypuszczał, że ktoś może ich zaskoczyć. Z resztą kto miał? Gnomy? Mieli z nimi układ, swoisty pakt o nieagresji. Więc kto? Armia rządowa? Dobre sobie, przecież byli w rozsypce... No i właśnie ta niedoceniana, Armia Republiki Baridas, miała być ich femme fatale.

I znów w stronę komunistów szybowało dziewięć granatów. Ich eksplozję na chwilę zagłuszyły szybkie i rytmiczne serie z cekaemów, które strzelały niemiłosiernie celnie i zabójczo skutecznie. Ich stacatto przerywały co jakiś czas wybuchy granatów. Jednak Misio wiedział, że granatnikom wkrótce skończy się amunicja i trzeba będzie ruszyć w dół, żeby dokończyć apokalipsy. Widział, ile

ten w sumie krótki ostrzał, spowodował szkód. I kiedy ostatnia, siódma już mordercza dziewiątka leciała w stronę obozowiska, Misio wydał rozkaz wstrzymania ognia przez cekaemy. Piechota miała

teraz ruszyć w dół, nie było więc wskazane aby zostali posiekani przez własne ciężkie karabiny maszynowe. Misio wyczuł odpowiedni moment do ataku, wydał komendę „Bagnet na broń”, wstał, odbezpieczył swojego peema, krzyknął „Za mną!” i ruszył w dół, strzelając raz po raz z thompsona. Dystans 200 metrów w dół przebył z ciągu pół minuty, cieszył się, że zdążył zdeorganizować plus minus dobrze wyszkolonych żołnierzy przeciwnika, którzy mieli za sobą dużo akcji bojowych. Kiedy tak biegł, nie myślał o niczym, działał jak automat. Zobacz, wyceluj, zabij. Te trzy słowa, te

trzy czynności, kierowały nim w czasie walki. Nie myślał wtedy, czasem miał przebłyski świadomości, ale tylko w celu sprawdzenia, czy jego żołnierze dają sobie radę, po czym znów zmieniał się w tego ludzkiego robota. Zobacz, wyceluj, zabij. Zobacz, wyceluj, zabij. Zobacz, wyceluj, zabij...

Kiedy wbiegał do obozu, z pierwszego namiotu jaki miał, wyskoczył komunista. Gdy zobaczył Misia, zamarł z przerażenia na jego widok. Automatycznie wręcz uniośł ręce w geście mówiącym „poddaję się, nie zabijaj mnie”, na Misiu nie zrobiło to żadnego wrażenia. Z wyłączonym myśleniem, zastrzelił biednego partyzanta strzałem z bliskiej odległości w głowę. Zatrzymał się jeszcze żeby wrzucić granat do namiotu, gdyż słyszał tam, prawdopodobnie, krzątających się komunistów. Wybuch zmiotł ten szmaciany domek, oraz jego lokatorów. Ale Misio już nie pamiętał, ani o namiocie, ani o zastrzelonym partyzancie. Biegł dalej, siejąc śmierć ze swojego pistoletu maszynowego, podarowanemu mu ongi przez wiernych żołnierzy z oddziału, który uwolnił go niegdyś ze scholandzkiej niewoli. Raz po raz, jakieś nieśmiałe pociski wroga, uderzały wokół niego, ale nie w niego samego, tak jakby się go bały lub czuły przed nim respekt. Misio nawet ich nie zauważał, zaprogramowany zdawać by się mogło przez samego Boga, biegł, strzelał i zabijał. Po wysadzeniu granatem namiotu, przeładował thompsona. W tym samym momencie, kiedy wymieniał magazynek, zza węgła wyskoczył z krzykiem partyzant i biegł na niego ze swoim kałachem, który miał przymocowany u dołu bagnet koloru srebra. Misio miał wrażenie, że zaraz zginie, przekłuty tym błyszczącym ostrzem, kiedy momentalnie uświadomił sobie, że ma przecież jeszcze pistolet. Szybkim ruchem wyciągnął z kabury swojego Colta M1911 i w ostatniej chwili zastrzelił go trzema strzałami z bliska. Schował potem pistolet z powrotem, dokończył ładowanie thomspsona i ruszył dalej. Zauważył grupkę partyzantów, którzy schowani za workami z piaskiem, strzelali z cekaemu i z broni osobistej. Granaty, które nieśmiało jeszcze leciał w ich stronę, były wyrzucane z tego zaimprovizowanego punktu oporu, przez jego dzielnych obrońców.

Misio uznał, że musi wyeliminować to stanowisko, zanim komuniści wystrzelają jego żołnierzy. Zaczął się za jakimś namiotem i patrzył. Pewną szansę dawały drewniane skrzynie, które leżały w pewnej odległości od stanowiska kaemu, wystarczającej jednak aby celnie rzucić granatem. Tutaj Misio postanowił wykorzystać pewną sztuczkę, której nauczył się na swoim pierwszym szkoleniu na poligonie, a która była surowo zabroniona przez regulamin armii – chciał „podgotować” granat. W tym celu zdjął jednego ze swojego paska, razem z zawleczką i przystąpił do działania. Z thompsonem w jednej, a z granatem w drugiej dłoni, rzucił się w stronę skrzynek. Dotarł tam bez problemu, chociaż obsługa wrażego cekaemu zaczęła do niego strzelać. Musiał się spieszyć. Zobaczył wtedy paru żołnierzy z jego oddziału, którzy strzelali do wrogów ukrytych za workami z piaskiem. Ruchami dłoni rozkazał im, aby go osłaniali ogniem. Ci zrozumieli go i gwałtownie wyskoczyli zza swoich osłon, strzelając bezustannie do przeciwnika. W tym samym czasie Misio odbezpieczył granat, ale go nie rzucał. Potrzymał go w ręku ułamki sekund, po czym rzucił. Miał tak wyliczone, aby granat eksplodował dokładnie w tym samym momencie, kiedy doleciałby do stanowiska. Tak też się stało. Obsługa cekaemu i paru partyzantów, którzy mieli pecha tam przebywać, należeli już do przeszłości. Misio ruszył dalej. Za każdym razem, kiedy uczestniczył w walce, starał się liczyć ilu przeciwników zabił i zawsze o tym zapominał. Nie inaczej było tym razem...

Misio załączył na chwilę swoją świadomość, aby stwierdzić, co się aktualnie dzieje w namiocie. Rozejrzał się dookoła. W oczy rzucił mu się najpierw jakiś szeregowiec z jego kompanii, który właśnie mordował jakiegoś komunistę z przy użyciu bagnetu. Wbił go w niego z całą swoją siłą, tamten nie bronił się specjalnie, widocznie został najpierw ogłuszony ciosem kolby. Młody szeregowiec wyciągnął szybko ostrze z przeciwnika, strzelił mu jeszcze w głowę żeby upewnić się,

że nie żyje i ruszył dalej. Dalej Misio zobaczył, jak grupka partyzantów poddaje się, trzymając w górze podniesione ręce, po czym zostaje skoszona serią z pistoletu maszynowego. Misio nie widział
kto strzelał, nie interesowało go. W tym samym czasie, obok niego zaczęły rozrywać się pociski

karabinowe. Misio musiał znaleźć jakieś schronienie, aby nie zginąć. Nie widział kto strzelał, bo sekundę później wszyscy partyzanci poddali się i stali z rękami uniesionymi w górę. W tym samym momencie przypomniał sobie o rozkazie majora Imelmana, który zakazywał brania jeńców.

Misia

coś chwyciło za gardło, kiedy widział tych młodych chłopców, którzy mieli niechybnie zginąć. Ale taka była wojna, tak przynajmniej to sobie tłumaczył. Wśród pobojowiska znalazł porucznika Albę, aby zapytać go o straty, po czym polecił mu załatwić sprawę jeńców, których było w sumie 32. Reszta partyzantów zginęła, większość już na samym początku. Misio chciał, aby ktoś za niego rozwiązał kwestię jeńców, gdyż on nie miał do tego ani serca, ani głowy, co więcej kłóciło się to jakoś z jego wewnętrznymi przekonaniem. Chwilę później jeńcy już nie żyli...

Misio odnalazł radiotelegrafistę. Chciał przekazać do kwatery głównej komunikat z akcji.

- Bambus Alfa 4, Bambus Alfa 4, tu Asphalt 12, tu Asphalt 12, odbiór ! – rozpoczął Misio.

-Tu Bambus Alfa 4, słyszymy cię Asphalt dobrze i wyraźnie, odbiór ! – odezwał się głos w słuchawce, Misio rozpoznał w nim majora Imelmana.

-Wykryliśmy obóz wroga w kwadracie 2:14. Jest godzina 23:15, akcję rozpoczęliśmy o godzinie 23. Straty własne to 10 zabitych i 4 rannych. Straty wroga to 198 zabitych, zero rannych, zero jeńców. Proszę o pozwolenie na wycofanie się na pozycje wyjściowe. Amunicja jest na wykończeniu, zdobyczej jest bardzo mało, widocznie wróg wystrzelał całą. Kończy się też żywność, odbiór ! – przekazywał Misio.

- Zezwalam. Dobra robota chłopaki. Po powrocie złożę pan raport i przedstawi żołnierzy do odznaczeń, bez odbioru !

–

Bez odbioru !

Jądro w ciemności t. II vol. 6 - "W. Balice II."

Rozdział VI – „W. Balice II”

Pobyt w dżungli nie wyszedł Misiowi na dobre. Chory na malarię, trafił szybko do szpitala wojskowego, gdzie poddano go leczeniu. Aktualnie Misio prezentował wrak człowieka, rozbity psychicznie i fizycznie nie posiadał chęci do życia, z przyjemnością skończyłby ze sobą raz a dobrze. Uczucie przygnębienia spotęgował dodatkowo „urlop” w szpitalu, gdzie widział dantejskie sceny. Niby przyzwyczajony do widoku śmierci, Misio nie mógł znieść jęków i wzdychań rannych leżących obok. Dodatkowo, żeby w ogóle spotęgować uczucie melancholii, Misio zaczynał tęsknić za krajem rodzinnym. Jedynym odstępstwem od uciążliwej monotonii życia szpitalnego, były wizyty żołnierzy z jego kompanii, odwiedziny jego przełożonych i wywiady z dziennikarzami. Armia baridajska potrzebowała zwycięstwa nad partyzantami jak kania dżdżu. Dlatego każdy, nawet najmniejszy sukces rozgłaszany był na cały kraj. Oczywiście, spece od propagandy nie przepuścili takiej gratki, tak więc mało znacząca potyczka w dżungli urosła do rangi wielkiego starcia, o niesamowitym znaczeniu strategicznym. Reporterzy z całego Baridasu, jak i z krajów ościennych chcieli poznać tego wielkiego stratega na miarę Napoleona, który rozbił przeważające siły wroga, w wydawać by się mogło, bitwie nie do wygrania. A Misiowi to odpowiadało, bo przynajmniej mógł się oderwać od szarej rzeczywistości szpitalnego życia. Po pewnym czasie obecność zgrai reporterów zaczęła go jednak irytować i pragnął jak najszybciej wyrwać się z tej dziury i wrócić do swojej kompanii.

Po miesiącu pobytu w szpitalu, Misio powrócił do swojej macierzystej jednostki, która nie była już częścią Batalionu Sił Specjalnych, ale została przydzielona do 3. Dywizji Piechoty. Kompania C, jako część składowa 14. Regimentu Piechoty 3. Dywizji Piechoty „Bananowy Gaj” została wysłana

na południe od Almeri, gdzie wraz z innymi jednostkami baridajskiej armii, miała zadać decydujący cios faszystowskiej rebelii byłego esesmana „Wolfa”. Chodziły plotki, że „Wolf” ma niezłe plecy w rządzie baridajskim, dlatego do tej pory armia nie była w stanie go pokonać. Misia to nie obchodziło, chciał walczyć bo było to jedyne zajęcie, które tak naprawdę wychodziło mu bardzo dobrze. Czasami jednak zastanawiał się, co byłoby gdyby w tym pamiętnym roku 1938 nie wstąpił

do szkoły oficerskiej i jak jego ojciec został rolnikiem. Jak wyglądało by teraz jego życie? Czy miałby żonę, dzieci? Czy byłby uczciwym człowiekiem, spokojnie żyjącym gdzieś w Sarmacji, osobą, która nigdy nikogo nie zabiła? Przypominał sobie też raz po raz o swojej jedynej miłości, która została gdzieś tam u komunistów i teraz pewnie jest wzorową funkcjonariuszką reżimu. Pewnie miała już męża, może nawet dzieci, które z pewnością wychowałyby na małych, zagorzałych komunistów. „Ja to mam popierdalone życie” – tak zawsze podsumowywał Misio swoje rozmyślenia filozoficzne.

„Zasrana Trójka”, jak nazywali swoją dywizję żołnierze, miała brać udział w wielkiej ofensywie przeciwko faszystom. Zadanie było trudne, gdyż rebelianci byli doskonale umocnieni na południu wyspy i skutecznie odpierali wszelkie ataki baridajskiej armii. Teraz miało być inaczej... Sztab opracował plan potężnego natarcia na całym odcinku frontu, połączonym z desantami morskimi na tyłach nieprzyjaciela. Chciano w ten sposób okrążyć przeciwnika i zniszczyć go, tak aby

całkowicie zlikwidować zarzewie buntu. Jednostki otrzymały rozkaz, aby nie brać jeńców i stosować taktykę spalonej ziemi. Miała to być kara za wspieranie byłego scholandzkiego oficera SS i jego bandy morderców, jak nazywała ich propaganda rządowa. A dywizja Misia miała uderzać z morza. Misio był przerażony, najbardziej ze wszystkiego bał się wody...

Mieli być desantowani z rana, kiedy następował odpływ. Dzięki temu potencjalne przeszkody na plaży miały być odsłonięte, co ułatwiłoby pracę czołgom które miały wspierać atak. Kompania Misia została zaokrętowana na specjalnych amfibiach, zwanych aligatorami. Każdy aligator wyposażony był w dwa cekaemy i generalnie rzecz biorąc, był słabiutko opancerzony. Dawał jedynie ochronę przed ogniem karabinów maszynowych, chociaż zdarzały się wypadki przestrzelenia boku aligatora i rażenia żołnierzy w środku. Nie podnosiło to Misia na duchu, zwłaszcza, że wstępne rozpoznanie brzegu dokonane przez łodzie podwodne, donosiło o licznych przeszkodach na plaży i o stanowiskach broni ciężkiej i maszynowej. Dowództwo postanowiło „zmiękczyć” obrońców ogniem z okrętów i z broni pokładowej samolotów (bomb brakowało, miały

zostać użyte na innym odcinku frontu). Misio postanowił nie mówić o tym swoim podwładnym, żeby niepotrzebnie nie obniżyć morale. Uważał, że przyda się ono na brzegu...

Ogień przeciwnika rozpoczął się w miejscu koncentracji amfibii. Te miały do przebycia ok. 3 km, będąc cały czas wystawione na pociski wroga. Najpierw waliły działa, im bliżej brzegu tym częściej. Wkrótce odezwały się karabiny maszynowe. Kule odbijały się z gwizdem od transporterów jak grad od blaszanego dachu. Misio skulił się w sobie jak tylko mógł, nie chciał ginąć tak szybko i tak beznadziejnie. Dwa pociski moździerzowe uderzyły w wodę kilkanaście metrów od nich, wywołując gejzery wody. Jakiś sierżant omiatał plażę ogniem z kaemu, krzycząc przy tym: „No chodźcie skurwysyny, jak jesteście takie cwaniaki ! Chodźcie !”. Misia zastanawiał potem fakt, jak to się stało, że ów sierżant przeżył całą bitwę. Po pewnym czasie brzeg stawał się półkolisty, więc wróg mógł wtedy prowadzić ogień krzyżowy. Im byli bliżej brzegu, tym bardziej narastał ogień nieprzyjaciela. Ostrzeliwali transporter Misia z lewej i prawej. Nagle, w sąsiedniego aligatora uderzył pocisk armatni. Trafiony zatrzymał się, stanął w płomieniach. Ludzie, jak żywe pochodnie, wyskakiwali z niego do wody, krzycząc i jęcząc przy tym przerażająco... Woda nie była tu głęboka, kule rykoszetowały więc od rafy koralowej. Tak zginął kierowca transportera Misia. Pojazd ostro skręcił w bok. Przerażony Misio spojrzął w stronę, gdzie powinien znajdować się kierowca, zamiast niego zobaczył jedynie kawał mięsa, praktycznie bez twarzy, przewieszony bezwładnie przez oparcie fotela. Facet obsługujący jeden z kaemów odskoczył, aby go zastąpić. Dalej to on prowadził, aż do momentu kiedy sam zginął, w podobny z resztą sposób.

30 metrów od brzegu, w transporter Misia trafił pocisk z granatnika. Potężne uderzenie zważyło Misia z nóg. Poczuł wtedy potężny ból w lewej ręce... Okazało się, że w przedramieniu tkwił mu sporej wielkości odłamek. Misio obwiązał sobie rękę kawałkiem munduru z zabitego przed nim

szeregowca. Później rozglądał się... Zauważył, że jego zastępcy zdarło hełm z głowy. Leżał teraz obok Misia, a z tyłu głowy widać było dziurę, w którą z powodzeniem zmieściła by się ludzka pięść. Wokół niego widać też było inne trupy. Wtedy pojazd zastopował, tuż obok wrażego bunkra, z którego w stronę aligatora wylewano ogromne ilości ołowiu. Wszyscy, którzy pozostali przy życiu, wydawali się cokolwiek oszołomieni (jeżeli można to tak nazwać). Misio starał się pozbierać

myśli. Najchętniej pozostałby tutaj, na podłodze transportera, gdzie było stosunkowo bezpiecznie. Ale miał też zadanie do wykonania... Krzyknął więc: „Panowie ! Wsiadamy ! Koniec przejażdżki” i z niesamowitym wysiłkiem przeskoczył przez burtę pojazdu. A wraz z nim dwunastu pozostałych przy życiu kompanów z początkowej liczby dwudziestu pięciu...

Ledwie skoczyli do wody, faszyci otworzyli do nich ogień z karabinów maszynowych. Nie było w pobliżu żadnego innego celu, a to oznaczało kilka setek kul na jedną osobę. Brodzenie w wodzie głębokiej na prawie dwa metry było bardzo powolne i męczące, wliczając w to nasiąknięty mundur, buty oraz oporządzenie. A mieli do przejścia ok. 400 metrów. W miarę zbliżania się do brzegu stawali się coraz większymi celami. Misio był przerażony jak nigdy przedtem. Wkrótce byli już na plaży. Młody żołnierz, idący koło niego, uśmiechnął się do niego i dziarsko przeskoczył przez obwałowanie brzegowe, zrobione z pni drzew palmowych.. Zginął parę sekund później, trafiony w głowę przez kulę snajpera. „Niech ktoś dostanie tego chuja. Siedzi tam i czeka aż ktoś ruszy” krzyknął Misio. Wiedział po huku karabinu, że snajper jest gdzieś blisko. Jakiś żołnierz przeskoczył

przez umocnienie brzegu i zaczął rzucać granaty w stronę schronu zrobionego z pni palmowych. Był on kilkanaście metrów od plaży. Szybko dołączyło do niego dwóch innych żołnierzy, jeden z miotaczem ognia. Gdy kolejny granat poszybował w stronę schronu, powodując wybuch dymu i pyłu, jakaś postać w mundurze koloru khaki wybiegła bocznym wyjściem. Facet od miotacza tylko na to czekał. Uchwycił go w spopielający strumień intensywnego ognia. Gdy tylko płomień dotknął uciekającego rebelianta, ten zapalił się jak kawałek folii. Zginął natychmiast, ale pociski z jego ładownicy wybuchały jeszcze przez chwilę. „Poszedł w pizdu” krzyknął jakiś ucieszony szeregowiec. Szybko reszta oddziału przeskoczyła przez obwałowanie brzegowe i ruszyła dalej. Nie

działała łączność, ani żaden łańcuch dowodzenia. Wszystko zostało zdezorganizowane, wojsko nie spodziewało się tak silnych umocnień przeciwnika.

Misio spojrzął za siebie, na podejście do plaż i przeraził się. Na wodzie odbywały się dantejskie sceny. Jeden po drugim aligatory kończyły swój bieg. Niektóre, te trafione w zbiornik paliwa, zapalały się jak pochodnie i wybuchały, inne zapadały się w lejach po pociskach z pancerników. Inne, z zabitymi kierowcami, kręciły się jak szalone i zataczały koła, potęgując i tak ogromny już chaos. Te, które dotarły do brzegu, najczęściej nie trafiały na swoje odcinki. Kierowcom zależało już tylko na tym, aby dowieźć swój ładunek na brzeg. Z początkowej liczby ok. 100 transporterów, połowa została zniszczona, a razem z nimi ginęło 20-25 żołnierzy, którzy znajdowali się w amfibii. Straty były więc ogromne. Należało teraz improwizować, trzeba się było w końcu wyrwać z brzegu i ruszyć w głąb lądu. Na domiar złego, jak się okazało, woda była zbyt płytka i barki desantowe, z oddziałami drugiego rzutu, oraz z jednostkami wsparcia nie mogły dotrzeć na brzeg.

Najpotrzebniejsze były czołgi, które mogłyby wspierać z bliska natarcie piechoty, te jednak miały zostać dostarczone dopiero w nocy, kiedy przyplływ był wystarczający. Namiastką broni pancernej były jedynie pływające czołgi, które w sile jedenastu sztuk ruszyły na brzeg, aby wspomagać czołowe jednostki. Większość z nich zakończyła jednak swój bieg jeszcze w wodzie, tak więc na brzeg dotarły tylko trzy maszyny. A i te szybko zostały wyłączone z walki, trafione bezpośrednio z dział przeciwpancernych. Sytuacja oddziału Misia nie wyglądała najlepiej. Trzeba było działać i to szybko. W każdej chwili wróg mógł wyprowadzić kontratak i zmieść ich z powrotem do morza...

Jądro w ciemności t. II vol. VII - "Ride the lightning"

Rozdział VII – „Ride the lightning”

Sytuacja na przyczółku nie nastrojała optymistycznie. Nikt nie spodziewał się tak silnego oporu ze strony faszystów. Wojsko na plażach było całkowicie zdezorganizowane, morale leciało na łeb na

szyję. Misio utracił kontakt ze swoją kompanią, którą niby miał dowodzić. Obok niego leżeli tylko członkowie jego osobistej drużyny i niedobitki pierwszego plutonu. Dalej, leżały plutony kompanii, o których Misio nawet nie słyszał. Należało działać jak najszybciej, trzeba się było wyrwać z plaży. Ale jak tu atakować, kiedy nie można nawet podnieść głowy? Misio musiał improwizować. Przygwożdżony ogniem przeciwnika, leżał teraz na plaży, ukryty za obwałowaniem brzegu i

planował. Najpierw musiał jednak wiedzieć, co jest za owym obwałowaniem. Jeden bunkier, ten ze snajperem, mieli już zlikwidowany. Misio myślał, że będzie go można użyć jako odskoczni do dalszego ataku, ale ogień wroga był tak silny, że musieli się wycofać na plażę. Potrzebował miotaczy ognia, przypomniał też sobie o kolejnej sztuczce, którą nauczyli go na wspólnych manewrach żołnierze piechoty morskiej. Otóż do rozbijania bunkrów idealnie nadawały się kostki trotylu, które miały ze sobą drużyny saperskie. Misio zaczął działać.

Najpierw przekazał dwóm plutonom znajdującym się obok jego własnego, że od teraz on przejmuje dowodzenie i że są tymczasową kompanią. Poinformował też dowódców plutonów o swoim planie. Potrzebował tylko trotylu i miotaczy ognia. Te drugie mieli na stanie chłopaki z innego oddziału, toteż Misio rozkazał przydzielić po jednym miotaczu na pluton. Trotyl również znalazł się, żołnierze wyciągnęli go z rozbitego aligatora, w którym prawdopodobnie była drużyna saperska. Trzeba było jeszcze tylko ocenić sytuację za załomem... Misio zebrał się w sobie i z najwyższą odwagą wystawił głowę, aby zobaczyć co się dzieje. Jego oczom ukazały się dwa wielkie bunkry, każdy uzbrojony w dwa kaemy, które pluły ołowiem w stronę plaż. Dalej w głąb znajdowały się dalsze blokhauzy, niektóre wyposażone były nawet w działa. Misio widział szansę na dotarcie do bunkrów okopami, które zostały wykopane przez wroga, aby piechota mogła tam odpiierać desant. Ale, że żadnej piechoty w okopach nie było, te stanowiły idealne drogi do natarcia, gdyż prawie bezpośrednio łączyły się z bunkrami. Trzeba było tylko przeskoczyć nad obwałowaniem, przebiec jakieś pięćdziesiąt metrów po otwartym terenie i już było się w okopie. Ten pierwszy etap natarcia był najtrudniejszy. „Bułka z masłem” pomyślał ironicznie Misio i zaczął się modlić. Robił to po raz pierwszy od nie pamiętał kiedy... Wojna za bardzo odciągała go od religii, ale teraz bał się jak

nigdy przedtem. Czuł, że może zginąć, nigdy wcześniej tego się nie obawiał.

Misio wyjaśnił żołnierzom, co ich teraz czeka. Próbował im dodawać otuchy, mówił że muszą wyrwać się z tej plaży, bo inaczej wróg ich wystrzela. Musieli nacierać, za wszelką cenę, nie zważając na straty. Poza tym, zbliżała się godzina kiedy na plażę miał dotrzeć drugi rzut desantu. Wtedy wybrzeże byłoby niemiłosiernie zatłoczone, łatwiej byłoby wtedy zmieść żołnierzy z powrotem do morza, a to nie wchodziło w rachubę. Liczyło się tylko zwycięstwo. Misio rozkazał uformować drużyny szturmowe. W pierwszym rzucie mieli nacierać żołnierze z bronią maszynową,

z granatnikami i oczywiście miotacze ognia. Musieli oni szybko zniszczyć bunkry, tak aby reszta tej

zaimprovizowanej kompanii mogła nacierać dalej. Pewną szansę na przebycie tych pierwszych pięćdziesięciu metrów, były leje po pociskach, które dawały pewną ochronę. Misio chciał je wykorzystać do natarcia i dotrzeć do pierwszego okopu w szybkich skokach, od jednego leja do drugiego. Było to trudne, ale wykonalne. Misio zarepetował swojego thompsona, sprawdził swój pistolet i wziął głęboki oddech. Z kieszeni kurtki wyciągnął gwizdek i zagwizdał ile sił w płucach. Nacierali !

Pierwszy żołnierz, który przeskoczył obwałowanie, szybko zginął trafiony. Ale następni mieli szansę, bo ten pierwszy, ten straceniec, ściągnął na siebie ogień przeciwnika. Misio szybko przeskoczył obwałowanie i pobiegł ile sił w nogach w stronę najbliższego leja. Razem z nim dotarło

tam paru chłopaków, w tym miotacz ognia. Niektórzy dotarli do innych lejów, niektórzy nie mieli tyle szczęścia. Misio wiedział, że nie mogą dłużej leżeć w tej dziurze, do okopów już niedaleko ! Wszędzie wokół nich świstały kule. Cały ten spektakl, w którym główną rolę grała broń maszynowa, był groteskowo interesujący. Misio myślał sobie, że gdyby ta bitwa była filmowana, z przyjemnością obejrzałby ją później w kinie. Co to byłby za film ! A jakie efekty ! Teraz jednak nie siedział w sali kinowej, a leżał w ubłoconej dziurze w ziemi, gdzie mógł bardzo szybko i bardzo łatwo zginąć. Trzeba nacierać ! Dalej panowie ! Już niedaleko ! Misio dźwignął się i z trudem

wyszedł z leja. Kule złowieszczo świstały wszędzie wokół niego. Ale on starał się o nich nie myśleć. Szczupakiem rzucił się do kolejnego leja. Wychylił głowę, żeby ocenić sytuację. Do okopów było jeszcze z 15 metrów. Tak blisko... Szybko się podniósł i praktycznie zdążył wykonać ze trzy kroki, kiedy znalazł się w okopie. Wraz z nim dotarło tam wielu, z którymi rozpoczął natarcie. Był też również tak potrzebny miotacz ognia.

-Teraz panowie mamy już z górki. Dali ten miotacz, spalimy skurwysynów – krzyknął Misio, aby podnieść na duchu jego towarzyszy broni. Był teraz podekscytowany, tak jak na każdej bitwie. Już

się nie bał. Uwierzył, że skoro nie zabili go tam, to tutaj nie zabiją go tym bardziej. Dlatego ruszył na czele w stronę pierwszego bunkra, w ręce trzymając kostkę trotylu. Gdy dobiegł do bunkra, wrzucił ją w pierwszy otwór strzelniczy. Misio słyszał przerażone głosy obrońców. Potem nastąpił wybuch... Kaem ucichł, Misio wycofał się więc w stronę swojego oddziału. Teraz była kolej na miotacz ognia. Żołnierz podbiegł do otworu i pociągnął za spust. Śmiercionośny warkocz ognia prysnął w stronę nieprzyjaciela. Dało się wyraźnie słyszeć jęki obrońców, nawet w hałasie broni maszynowej.

- No jeden zero dla nas chłopaki ! Jeszcze tylko jeden ! – ochoczo zawołał Misio. Ruszyli na drugi bunkier, tym razem zachodząc go od tyłu. Misio szedł pierwszy, tuż przed wejściem do blokhauzu zatrzymał się. Sprawdził thompsona i czekał... Z bunkra wyszedł jeden żołnierz, Misio zastrzelił go błyskawicznie. Przebiegł na drugą stronę, wrzucając do środka granat. Potem podbiegł chłopak z miotaczem ognia i dokonał dzieła zniszczenia... Dwa bunkry były wyłączane z gry. Misio wystrzelił

zieloną flarę, droga była wolna ! Reszta kompanii z impetem ruszyła w stronę wroga...

Dalej nacierali już okopami, niszcząc jeden bunkier za drugim. W końcu wyrwali się z plaży, mogli atakować i odpłacić się przeciwnikom. Zniszczyli miotaczami i trotylem kilka bunkrów, aż w końcu

dotarli do największego. Ten był ogromny, nie dało się go załatwić kostką trotylu ani miotaczem ognia.

-To musi być bunkier dowodzenia. Muszę się zastanowić jak go załatwić – powiedział Misio.

Obok, jakimś cudem leżały nienaruszone beczki z benzyną. Przykuły one uwagę Misia, gdy ten zastanawiał się jak zniszczyć bunkier.

-Wiem. Użyjemy tej benzyny. Wlejemy ją przez otwory wentylacyjne i podpalimy. Gnoje uwędną się tam w środku. Dalej, pomóżcie mi ! – zarządził Misio. Beczki były ciężkie, to też z największym trudem udało się im wlać zawartość do otworów wentylacyjnych. Ale udało się. Jako, że nikt nie miał zapalniczki, Misio postanowił użyć granatu. Pociągnął zawleczkę i wrzucił granat. To była ostatnia rzecz, jaką pamięta...

Bunkier, który Misio wziął za bunkier dowodzenia, okazał się być składem amunicji. Eksplozja zabiła wielu jego współtowarzyszy, on sam miał więcej szczęścia. Ciężko ranny w ręce i w klatkę piersiową, został szybko ewakuowany. Stamtąd trafił od razu na statek szpitalny, gdzie przeszedł dwie operacje. Potem wysłano go do Almeri, do szpitala wojskowego, gdzie miał spędzić następne miesiące na leczeniu, a potem na rehabilitacji. Ale Misio nie był zdołowany. Desant udał się, tak jak

i cała operacja wojskowa. Faszyci zostali pokonani, Wolfa złapano, zastrzelono. Jego ciało powieszono za ręce na głównym placu w Almerze, gdzie jego zwłoki objadały ptaki.

Powrót do szpitala nie okazał się aż tak bolesny, jak go się Misio spodziewał. Po owym desancie nic już Misia nie przerażało, nawet pobyt w lazarecie. Poza tym utwierdził się w przekonaniu, że jest niezniszczalny. Skoro nie zabił go nawet wybuch składu amunicji, który on sam podpalił? Coś musiało być na rzeczy... Po bitwie Misio został przeniesiony w stan spoczynku. Stan jego zdrowia był na tyle poważny, że trzeba go było wysłać na długo do szpitala, a armia nie chciała płacić żołnierzom, którzy nie wiadomo czy przeżyją. Ale Misio przeżył i z dnia na dzień miał się coraz lepiej. Zaczął zastanawiać się nad swoją przyszłością... Miał dosyć Baridasu, chciał wrócić do kraju. Może komuniści przebaczą mu jego niby winy? Może odpuszczą mu i dadzą mu żyć w spokoju? Może odnajdzie w końcu Olkę i zobaczy ją po tak długim czasie? Czy pozna swój dom rodzinny? A może go już nie ma? Tyle jest jeszcze rzeczy do zrobienia...

